

Opłata pocztowa niszczona ryczałtem

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI

Łódź, 14-21 sierpnia 1949 r.

Nr 33-34 (212-213)

W NUMERZE

S. Petőfi — Vajda Hunyadi; Węgierski szlachcic (wiersze)
 E. Nizurski — Pierwsze pokolenie socjalistyczne
 L. Budrecki i W. Jedlicki — Pięćlecie filmu polskiego
 Roman Zimand — Buchalteria kapitalizmu „kwitnącego”
 H. Balzac — Kontrakt ślubny
 P. Daix — Balzak dzisiaj
 F. Engels — O Balzaku
 A. Kamińska — „Rewolucja oświaty” w Galicji
 L. Łakomy — Rozmowy na Wzdole
 Z. Rzeplińska — Jean Jaurès
 J. Jaurès — Z „Pism politycznych”
 M. Kościńska — Pod pięciennym kapeluszem
 F. Różewicz, J. Miller — wiersze
 F. Nowak — Młodzież w kręgu gminy
 M. Minias — Dojrzałość do zawodu i środowiska
 S. Marczak - Oborski — Dwie komedie
 S. Dąbrowski — Zapomniana powieść o wsi
 W. Wiejski — Czytelnictwo w Jarosławcu

Roger Garaudy

Watykan — mocarstwo kapitalistyczne¹⁾

Politika Watykanu jest uwarunkowana względami natury politycznej, a nie religijnej. Arcykapłan rzymski rozporządza w dzisiejszym świecie kapitalistycznym władzą świecką, która da się porównać z władzą Innocentego III w świecie feudalnym XIII wieku. Polityka Watykanu ma na względzie świeckie interesy Kościoła rzymskiego, a nie promieniowanie duchowe wiary.

Dzisiejsi papieże kontynuują stare średnio-wieczne rojenia o teokracji. Państwo watykańskie jest tylko alegorią systemu totalnego, który łamiąc ciało uśmiera zagarnąć duszę. Ustrojem, który dzisiaj najbardziej czyni zadość totalistycznym marzeniom papieża, jest ustrój gen. Franco. Reżym Trumana jest jego najbardziej charakterystyczną siłą ofensywną.

MIASTO MARTWYCH DUSZ

Państwo watykańskie jest ostatnią na świecie monarchią absolutną. Jego prawo podstawowe, proklamowane 7 czerwca 1929 r., głosi: „Artykuł 1. — Najwyższy kapłan, suweren Państwa i Miasta Watykan, posiada pełnię władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowej”. Artykuły 7, 8 i 10 precyzują, że papież mianuje i odwołuje gubernatora, generalnych radców Stanu, jak również sędziów. Takiej władzy nie posiadał nigdy nawet Ludwik XIV. Trzeba sięgnąć do średniowiecza, aby odnaleźć równie dobitną formułę despotyzmu.

Ustawa o bezpieczeństwie publicznym z dn. 7 czerwca 1929 r., po dziś dzień pozostająca w mocy, stanowi przeciwieństwo Deklaracji praw człowieka i obywatela, której „siedemnaście artykułów, tak sprzecznych z religią i społecznością” napieczętował już Pius VI w r. 1791. Artykuł 3 tej ustawy znosi prawo zrzeszania się, artykuł 4 — prawo zebrań, artykuł 8 — wszelkie swobody wypowiedzi. Artykuł 7 przewiduje rewizję w mieszkaniach prywatnych. Wszelkie wykroczenie przeciw ustawie karane jest grzywną 9.000 lirów i sześcioma miesiącami więzienia. W r. 1949 wolność jest zbrodnią dla Piusa XII, jak i dla wszystkich jego poprzedników.

DUCH W KAJDANACH

Ten szczyt feudalizmu i przeżytek średniowiecza zdobią wszystkie splendory Odrodzenia. Znajduje się tu cała sztuka przeszłości, ale w charakterze sztuki muzealnej. Nie ma sztuki żywej wśród martwych dusz. Rzeźby Michała Anioła i freski Rafaela są tu zakonserwowane jak w lodówce. Znajduje się tu najpiękniejszy księgozbiór świata: galerie długości kilometra, 500.000 tomów, 100.000 rękopisów, książki uszeregowane jak mumie w sarkofagach, zamknięte w żelaznych szafach. Gdyby się te książki zbudziły, wybuch zawartego w nich światła rozsądziłby zapobon w kawałki. Ale czuwa nad nimi potęga ciemnoty.

Jest tu również wiedza — w obserwatorium Watykanu, przeniesionym do Castel Gandolfo. Ale tkwi tutaj jak okaz anatomiczny: gdyby nowy Galileusz zbliżył się do teleskopu, nie odważono by się wprowadzić wykłuć mu oczu, albo wymusić na nim zaparcia się swych poglądów. Niemniej jednak głos jego byłby zdławiony i wyklęty. Nauka jest zawsze herezją. Astronomowie Watykanu nie mają prawa wysunąć się poza kąt nieba, jaki wyznaczono im do badania.

Ludność Watykanu, cała złożona z urzędników, ujęta w karby najsurowszej dyscypliny: capstrzyk — o 11-tej wieczór, każdy, kto mimo zakazu znalazłby się na drodze suwerena w czasie jego spaceru, naraziłby się na utratę posady.

To miniaturowe państwo totalne rządzi największym imperium świata, obejmującym czterysta milionów poddanych i pięć szóstych ziem wynurzonych.

Nie jest to obraz literacki. W epoce feudalizmu papież był władcą świata: intronizował i obalał królów, upokarzał cesarzy. Od czasu narodzin kapitalizmu i świadomości narodowej, od czasu Reformy XVI wieku papieństwo przeszło głęboki kryzys, niemniej przecież Rzym nie przestał nigdy być ośrodkiem świata politycznego. I oto od dwudziestu lat papieństwo odzyskuje, w łonie ustroju kapitali-

stycznego, władzę świecką, jaką posiadało w czasach feudalizmu.

Czterdzieści cztery hektary powierzchni Watykanu nie powinny nastrożać żadnego złudzenia: dzisiaj o potęgę stanowi nie ziemia, lecz kapitał, kontrola gospodarki oraz panowanie nad ludami, które wypływa z posiadania kapitałów i sprawowania kontroli, jak dawniej wypływało z władania ziemią.

ZIEMIE KOŚCIELNE I ZŁOTE ŻNIWA

Od chwili, gdy w IV wieku zawarte zostało przymierze między papieństwem i cesarzem Konstantynem, Kościół był nieprzerwanie najbogatszym posiadaczem świata. W czasach feudalizmu Kościół był największym z właścicieli ziemskich. Dziesięć gromadziły się przez całe tysiąclecie. Gdy w epoce Odrodzenia, za pontyfikatu Juliusza II, Rzym stał się ośrodkiem życia politycznego narodów, akumulacja jego kapitałów była już dokonana: mógł więc wyruszyć na podbój świata kapitalistycznego wyposażony we własną broń.

I dzisiaj jeszcze aktem obłudy jest wskazywanie na śmiesznych czterdzieści hektarów państwa watykańskiego, gdy we Włoszech 250.000 hektarów stanowią ziemie Kościoła, który czerpie z nich rentę, gdy jedna trzecia własności ziemskiej w Hiszpanii jest w rękę jezuitów, gdy Ameryka Południowa jest najbardziej rozległą kolonią Kościoła, a w starsze imperium papieża jest włączony kontynent!

Nie licząc już dóbr nieruchomych w postaci przybytków kultu, renty ziemskiej i kapita-

lizowanych dochodów z ziem kościelnych, reprezentujących co roku setki miliardów.

BANK ŚWIĘTEGO DUCHA

Dodajmy do tego datkę Św. Piotra 400 milionów wiernych, oszacowany w r. 1913 na przeciętną roczną sumę trzech miliardów złotych franków; ofiary miejsc świętych, gdzie na tysiąc mszy zapłaconych w Lourdes lub Lisieux, na przykład, jedna setna zaledwie jest istotnie odprowadzana, jako że Watykan zezwala na mszę globalną zamiast tych, których odprowadzić nieposob. Dodajmy do tego dochody z tysięcy świątyń patnicznych, natdo opłaty i daniny każdej z 1.700 diecezji świata katolickiego, nie licząc zysków finansowych Watykanu, gdzie sama tylko sprzedaż znaczków idzie w miliardy. Tak więc ukazują nam się, obok własności ziemskiej, drugi aspekt bogactwa Kościoła: potężna akumulacja finansowa i podstawy gigantycznego obrotu dewizowego.

Afera prałata Cippico sama przez się nie jest ciekawa. To że ksiądz, choćby nawet „monsignor” i tajny szambelan papieża, okazał się fałszerzem i złodziejem, niczego jeszcze nie dowodzi przeciw Kościołowi — jest to tylko występki jednostki. Co jest groźne i podważa niejako sam fundament instytucji, jaka jest Kościół katolicki, to fakt, że kombinacje o takim rozmachu są w ogóle możliwe.

Po r. 1600 papieństwo, które w wiekach średnich posiadało bogactwo, zaczęło wyczerpywać swoje źródła. Wobec coraz to bardziej rosnącej własności ziemskiej Kościoła dorzucał ka-

pitalistyczna własność finansowa. A był to jedynie początek.

Od akumulacji do spekulacji jest jeden krok tylko, tym bardziej że Watykan korzysta z wyjątkowo pomyślnych warunków dla realizacji olbrzymich obrotów dewizowych. Już w r. 1939 były przewodniczącą niemieckiej partii katolickiego Centrum, Mgr Kaas, który schroniwszy się w Watykanie porzucił politykę dla interesów, uzyskał zezwolenie na wywóz sum kultowych, że pominiemy już wywóz nielegalny. A dzisiaj Mgr Guidetti, administrator majątków świętej siedziby, może dokonywać przelewów sięgających 150.000 dolarów. I znowu pozostawmy anegdotę na boku: nie jest ważne to, że Mgr Guidetti, minister skarbu papieża, siedzi w więzieniu za oszustwo — jest to banalny objaw korupcji kapitalistycznej. Co jest ważne, to fakt, że święta siedziba jest mocarstwem kapitalistycznym; co jest znamienne, to fakt, że bankierzy i przemysłowcy zwracają się do niej, gdy chodzi o transakcje dewizowe i inne najbardziej śliskie operacje.

W jaki sposób Watykan stał się najpotężniejszym trustem świata?

BANKOWY TRUST WATYKANU

W styczniu 1948 wielki przemysłowiec Rossa, na podstawie zwykłego podpisu administratora dóbr świętej siedziby, podjął ryzykowną operację: na sumę 30 milionów dolarów wyczerpał. Dlatego że bankowa w tym czasie była w stanie niebezpiecznej w świecie, w której głównym negocjowaniem obrotami Włochy, Francja, Szwajcaria i Ameryka.

Bank Świętego Ducha, poleceny Rossiemu przez jego obecnego dyrektora Corbi, jest już tylko dzisiaj drobnym trybikiem aktywności bankowej Watykanu.

Aktywnością tą kieruje generalny administrator dóbr świętej siedziby, Bernardino Nogara. Potentat międzynarodowej finansjery, skarbnik Watykanu Nogara był mężem zaufania Mussoliniego, który w swoim czasie zlecił mu negocjacje w sprawie planu Dawesa. Nogara, który zasiada w trzydziestu radach nadzorczych jest wiceprezesa największego banku włoskiego, Banco Commerciale d'Italia.

Adiutantem Nogary jest margrabia Sachetti, jedna z najwyższych osobistości Watykanu, główny kwatermistrz świętych pałaców apostołskich, przewodniczący koła św. Piotra i Stowarzyszenia Serca Jezusowego, prezes rady nadzorczej Banco di Santo Spirito i właściciel 25.000 hektarów w Latium. Margrabia Sachetti zasiada w radzie nadzorczej drugiego co do wielkości banku włoskiego, Banco di Roma, obok księcia Giulio Pacelli, bratanka papieża, obok demo-chrześcijańskiego posła Montiniego, który jest bratem monsignora Montiniego, watykańskiego sekretarza Stanu, i obok Odasso, imnego przedstawiciela Banku Świętego Ducha.

Za pośrednictwem tych trzech banków Watykan kontroluje szereg banków mniejszego kalibru: Bank Scaretti, Bank Ugo Natali, Włoski Zakład Kredytu Ziemi, Centralny Zakład Kredytowy, Konsorcjum Kredytu dla Robót Publicznych, Bank Ambrosiano, którego radzie nadzorczej przewodniczy hrabia Franco Ratti, bratanek papieża Piusa XI.

Widzimy więc, że baza obrotu bankowego i spekulacji dewizowej jest szeroko rozbudowana. Praktycznie rzecz biorąc, Watykan ma w swoim ręku, albo też kontroluje, cały włoski aparat finansowy. Poprzez 40 banków centralnych i setkę banków ludowych Watykan rozporządza 400 miliardami lirów na 600 miliardów oszczędności ciułaćcy włoskich. Warto zaznaczyć, że Watykan spekuluje na walucie polskiej, gdyż w praktyce waluta państwa papieskiego już nie istnieje.

W obecnym stanie rzeczy Watykan może bezkarnie uprawiać swą działalność finansową. Włochy bowiem są dlań nie tylko kolonią finansową, ale i kolonią polityczną. Na czele Rady Ministrów stoi mąż zaufania Watykanu Alcide de Gasperi, który nie jest nawet obywatelem włoskim, lecz obywatelem watykańskim, jako że od r. 1926 do Wyzwolenia był archiwistą - bibliotekarzem Watykanu. Ten urzędnik papieski pokrywa wszystko. Policja jego postarała się o to, by w okresie skandalu Cippico zniknęły w porę akta najbardziej kompromitujące dla papieństwa.

Rozgłoszenia bankowe Watykanu obejmują cały świat. Pierwszy etap jest w Szwajcarii. Mgr Guidetti przepuszczał pieniądze Rossiego przez filię „Banco di Roma” w Lu-

Cyprian Norwid

FRASZKA

Dewocja krzyczy: „Michelet wychodzi z kościoła”.
 Prawda; dewocja tylko tego nie postrzegła,
 że za kościołem człowiek o ratunek woła,
 że kona — że ażeby krew go nie ubiegła,
 to ornat drze się w pasy i związuje rany:

A faryzeusz mimo idzie zadumany.

Jan Kochanowski

O KAZNODZIEI

Pytano kaznodzieję: czemu to, prałacie,
 Nie tak sami żywicie, jako nauczacie?
 (A miał doma kucharkę) i rzecze, mój panie,
 Kazaniu się nie dziwuj, bo mam pięć set za nie:
 A nie wziąłbych tysiąca, mogę to rzec śmiecie,
 Bych tak miał czynić, jako nauczam w kościele.

Wacław Potocki

SUKCESYA KSIĘŻA

Bywszy na zamku, pojrzę; sroga księży kupa
 Śpiewa żoltarz, na koło ostapiwszy trupa.
 Pogrzeb, myślę, ksiądzęcia, albo jakiej księżny.
 Pytam: kto? Powiedzą mi: ksiądz umarł pieniężny.
 Dobrze im się opłaca śpiewane pacierze,
 Bo po tysiąc czerwonych każdy prałat bierze.
 A krewni co? Ruchome wszystkie rzeczy, prawi,
 Pościel, garki, talerze, cokolwiek zostawi.
 Spytałem w konfidencji kanonika potem:
 Na co się też tak księża okładają złotem?
 Dość ze wsi i dziesięcin, niechby te puścizny
 Obracali żołnierzom, na zaszczyt ojczyzny.
 A ten, jakoż był grzeszny, nie myślący wiele:
 Od początku ten zwyczaj prawi, był w kościele.
 że ksiądz bierze po księdzu, po nim trzeci, czwarty.
 Dyabeł po wszystkich, kędy już registr zawarty.

Kajetan Węgierski

KANON

Cóż mi ów kanon, co się pasąc długim
 Dziesięcin zbiorem, z utuczonym brzuchem,
 Nieużyteczny ni sobie, ni drugim
 Uległ pomiędzy kucharką i puchem?
 A gdy zaległ raz mu dziesięciny
 Kto niezupełnym odmierzyl mu działem,
 Chociaż był odpust od kary i winy,
 Wyklął z ambony i z duszą i z ciałem.

¹⁾ Fragment książki „Kościół, komunizm i chrześcijaństwo”.

gano. Jest to tylko mały odcinek tego handlu. Po r. 1943 ukonstytuowała się w Szwajcarii grupa finansowa kierowana przez dwu byłych doradców faszystowskich: Angeletti i Odasso, z których ten ostatni jest równocześnie prezesem rady nadzorczej Banku Św. Ducha i honorowym szambelanem płaszcza i szpady Jego Świątobliwości Piusa XII.

Na początku 1948 r. grupa ta dokonała nielegalnej operacji na sumę 600 milionów lirów. Sumy powierzone Watykanowi miały dobrą gwarancję: tony cukru dostarczane przez UNRRA!

Afera wzięła przykry obrót i okazało się, że depozytariuszami tych sum i zarazem ofiarami współników tej kombinacji finansowej były... trzy zakony.

Jak wiadomo, dostawy UNRRA dla Włoch przechodziły przez ręce Watykanu; otóż całą operację pokryli swym autorytetem dwaj posłowie z „chrześcijańskiej demokracji”: Campilli i Vanoni. Powołana dnia 15 lutego komisja z 11 członków miała wykryć, kto sfinansował przywóz z Kuby tak znacznej ilości cukru. Dochodzenie ustaliło, że sprawa była finansowana przez administrację świętej siedziby, ściślej mówiąc z funduszy zakonnych.

Administracja skarbowa Watykanu udzieliła na ten cel 4 i pół miliona dolarów, której to sumy dostarczył gotówką... zakon bractw franciszkańskich — synów „Poverello” — za podpisem franciszkanina Antonio Blasucci.

Po franciszkanach kolej przyszła na dominikanów. Dotąd ich siedzibą centralną był Algier, ale w Afryce dominikanie są tak niezawodnym narzędziem francuskiego kolonializmu, że wrzenie ludności tubylczej zaczęło im się dawać we znaki: postanowili więc w końcu ubiegłego roku przenieść swą siedzibę do Rzymu. Zwrócili się zatem do monsignora Guidetti powierzając mu zakup na Monte Mario terenu pod ich dom, kaplicę, klasztor i kasę. Administrator majątków świętej siedziby poradził im nie rozgłaszać sprawy, aby nie zachęcać właścicieli placów do podniesienia cen. Wystarczyło zawierzyć mu składając na jego ręce 300 milionów lirów. Dominikanie poszli za tą świątą radą... Guidetti siedzi w więzieniu watykańskim, milioner zaś dominikanów zniknął bez śladu.

Podobna operacja dotknęła zakony palotyńskie i bazylianów obrządku greko-katolickiego, które powierzyły swe majątki administracji świętej siedziby. Mgr Guidetti zdefraudował ich fundusze przez sfałszowanie podpisu radcy Państwa Watykanu, księcia Don Carlo Pacelli z rodziny papieskiej.

Operacja rozciąga się na Francję. W okresie wymiany banknotów wartości pięciu tysięcy franków banki watykańskie skupiły wszystkie krążące za granicą odcinki dokonując wymiany za lichwiarski procent 30%.

Co prawda, mają one we Francji bardzo solidne podpory. Instytucja, która służy im jako ogniwo pośredniczące, jest Francusko-Włoski Bank Ameryki Południowej, rządzony przez radę nadzorczą posłuszną wskazaniom Bernardino Nogary. Filie tego banku stanowią w Argentynie główne ogniska faszyzmu. Zresztą jest on sam filią „Banque de Paris et des Pays-Bas”, znajdującego się pod kontrolą Watykanu. Staje się więc zrozumiałe, dlaczego M. R. P. tak zaciekle broniło tego banku przed nacjonalizacją; staje się również zrozumiałe, czemu zawdzięcza swą świetną karierę w tej firmie manekin jezuitów Pierre de Gaulle, brat generała i prezydent paryskiej rady miejskiej.

Dodajmy do tego, że jedna trzecia część akcji Banku Worms (za okupacji — jednego z najbardziej petainowskich i prohitlerowskich banków Francji) należy do Watykanu. Dodajmy Galiciera, Demachy i Lehideux — a otrzymamy obraz wpływów Watykanu na bankową „góre” Francji. Ogółem francuskie lokaty Watykanu sięgają sumy 200 miliardów franków.

WSZYSTKIE DROGI PROWADZA NA WALL-STREET

Wszystkie nici zbiegają się na Wall-Street, mianowicie w City-Bank Nowego Yorku i w bankach grupy Morgana. Lokaty kapitałowe Watykanu w Stanach Zjednoczonych są oceniane na 35 miliardów franków.

Akcje bankowe Watykanu w innych krajach (Republiki południowo-amerykańskie, Anglia, Niemcy, Węgry) są oceniane na 60 miliardów franków.

Jest to wszelako jeden tylko aspekt potęgi ekonomicznej państwa papieskiego: Watykan jest nie tylko największym z właścicieli ziemskich i najpotężniejszym ugrupowaniem bankowym świata; od kilkunastu lat, to znaczy od czasu wielkiego kryzysu 1929 roku i zwłaszcza od czasu ostatniej wojny Watykan kontroluje znaczną część światowego przemysłu. Ujawnia się tu bardzo wyraźnie znamieny rys kapitału finansowego: fuzja kapitału bankowego z kapitałem przemysłowym.

Watykan posiada wszystkie charakterystyczne cechy „holdingu” przemysłowego i finansowego, holdingu, któremu mgiełka mistyko-feudalna nadaje styl osobliwy.

Jak powstał ten holding, którego potęgę dorównywa jedynie potęga trustów amerykańskich?

HOLDING WATYKANU

Holding ten powstał w dwu rzutach: w okresie 1929—1933 w wyniku układów Laterańskich i dzięki kryzysowi światowemu, później w okresie 1939—1945 dzięki wojnie światowej.

Układy Laterańskie uregulowały kwestię władzy świeckiej papieża. Mocą konwencji finansowej z dnia 11 lutego 1929 Mussolini zobowiązał się wpłacić świętej siedzibie, pod

pozorem odszkodowań za straty poniesione przez państwo papieskie w okresie tworzenia się jednolitej włoskiej, 750 milionów lirów gotówką i miliard lirów w pięcioprocentowych obligacjach państwowych. Nazajutrz po zawarciu tych złotych układów papież Pius XI nazwał Mussoliniego „mężem opatrnościowym”. Pierwsze dziecko, które po zawarciu układów urodziło się w mieście watykańskim, otrzymało imiona dwu „pogodzonych”: Piusa i Benita.

Faktem jest, że konwencja finansowa oddała w ręce Watykanu gospodarkę włoską. W owym czasie, a były to pierwsze miesiące kryzysu, państwo faszystowskie postanowiło ratować zachwiane banki włoskie lokując w nich poważne kapitały. Tym samym państwo faszystowskie zyskiwało przemożny wpływ na gałęzie przemysłu kontrolowane przez owe banki. Ale nie mogło ono uratować wszystkich naraz: aby podtrzymać sektory najbardziej dotknięte, Mussolini musiał sprzedawać pakiety akcji przedsiębiorstw najzdrowszych. Pod presją kryzysu i wobec powszechnego głodu kapitałowego, musiał je dyktator włoski sprzedawać po cenach śmiesznie niskich. Otóż, Watykan, który w pełni kryzysu nie miał konkurentów, znalazł się sam na sam na rynku z miliardami, które należało zainwestować. Porobił więc zakupy tak masowe, że dzisiaj ma w ręku najmocniejsze sektory gospodarki włoskiej, a to dzięki „administracji specjalnego patrymonium świętej siedziby” (taką jest nazwa tego ultra-nowoczesnego aparatu ekonomicznego).

Poza bankami kapitały Watykanu we Włoszech są zainwestowane przede wszystkim w spółkach budowlanych, w towarzystwach ubezpieczeń, w elektrowniach i przemyśle chemicznym.

Tak więc, w „Powszechnej Spółce Budowlanej” Watykan posiada 50% kapitału, podczas gdy reszta jest rozproszona między 2000 drobnych akcjonariuszy, w spółce „Romana” Watykan posiada 3/4 kapitału; w Veronie — 55%, w Wenecji — 50%, w Mediolanie — 51%, w Neapolu — 80%, w Turynie — 100%, w Genui — 85%.

W samym Rzymie do Kościoła należy nie tylko jedna trzecia nieruchomości, ale i gros zakładów użyteczności publicznej. Książę Giulio Pacelli, bratanek papieża, przewodzi Spółce Kolei Południowo-Wschodnich, rządzi Rzymską Spółką Gazową i Towarzystwem „Italgaz”, Margrabia Sacchetti, główny kwartiermistrz pałaców apostołskich i tajny szambelan papieża, zasiada jako prezes w radzie nadzorczej włoskich filtrów, mając przy boku wszechpotężnego skarbnika Watykanu, Nogarę, który przewodzi Spółce Budowlanej, Zakładowi Kredytu Ziemskiego i fabrykom makaronu „Pantarella”. W radzie nadzorczej tych fabryk i wielkich młynów zasiada jako prezes drugi bratanek papieża, Marc Antonio Pacelli, członek gwardii papieskiej, adwokat Roty, prezes dziesiątka innych spółek akcyjnych.

We wszystkich tych zakładach Watykan posiada większość w radach nadzorczych. Posiada nadto w elektrowniach poważne pakiety akcji — ogólnej wartości 7 miliardów lirów, w przemyśle chemicznym — 2 miliardy lirów. W fabryce materiałów wybuchowych „Montecatini” Watykan rządzi za pośrednictwem Bernardino Nogary i Rebuja Dandolo.

Słowem, nie ma w gospodarce Włoch ani jednej gałęzi, gdzie Watykan nie odgrywałby roli decydującej — bądź z racji swych inwestycji, bądź też zapomocą banków.

Wojna światowa umożliwiła Watykanowi w tej dziedzinie nowy skok naprzód. Dzięki zrecznym spekulacjom czarna ośmiornica rozpostarła swe macki po całej kuli ziemskiej. W tym względzie święta siedziba miała do dyspozycji solidnego przewodnika: Myron Taylor, gorący wielbiciel „imperialnych realizacji” Mussoliniego, przez cały czas wojny jeździł między Stanami Zjednoczonymi i Watykanem. Ładował na lotniskach włoskich i milicja faszystowska z całym należytym mu szacunkiem eskortowała go do Św. Piotra.

Dzięki światłym radom tego prezesa amerykańskiego trustu stalowego, dzięki radom Nogary, Watykan, korzystając ze swej „super-neutralności” w czasie wojny, nie tylko ocalił wszystkie swe majątki i majątki spółek, w których posiada większość, ale i rozszerzył jeszcze sieć swych lokat i inwestycji.

Wojna nadała nowy kierunek światu kapitałom. Przemysł wojenny ofiarowywał najkorzystniejsze lokaty. Już w r. 1938 przemyślny i uprzedzający grzeszny Myron Taylor wprowadził Watykan do amerykańskiego trustu metalurgicznego „Guggenheim”. Cenna pomoc Banku Morgana, który został pełnomocnikiem świętej siedziby na Ameryce, pozwoliła Watykanowi wejść do trustu miedzianego „Anaconda Cooper”, następnie do spółek naftowych: „Sinclair Oil” w Ameryce i „Compagnie française des pétroles”, które dały mu prawo wglądu do kopalń Iraku.

We Francji inwestycje Watykanu, poza bankami i naftą, obejmują przede wszystkim przemysł tekstylny (70% akcji w „Société textile du Nord”) i prasę, gdzie Watykan kontroluje czterdzieści dzienników. Prócz tego zainwestował znaczne kapitały w kasyinach Biarritz, Deauville, Vichy i zwłaszcza w kasynie Monte-Carlo, gdzie sam Bernardino Nogara zasiada w radzie nadzorczej obok spadkobierców Basila Zaharowa i członków rodziny ex-rumuńskiego potentata naftowego Blanca.

Jak widzimy, polityka finansowa Watykanu jest i ostrożna i przedsiębiorcza. To mocarstwo kapitalistyczne nie może nie uprawiać polityki, nie może nie wpływać na politykę światową.

Roger Garaudy
tłum. W. Z.

W SETNĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI WIELKIEGO POETY— REWOLUCJONISTY WĘGERSKIEGO



Szandor Petőfi (1823—1849)

Szandor Petőfi (r. 1823 — 31.VII.1849) jest największym poetą węgierskim. Pochodził z prostej rodziny — syn rzeźnika — młodość miał awanturniczą i pełną przygód.

Pierwszy zbiór poezji wydał w roku 1844, a sławę swoją u współczesnych zawdzięcza trzem poematom epicznym: Wiejski kowal (1844), Wojak Janos (1845) i Filut Stefek (1847), z których to poematów Wojak Janos obrazuje folklor węgierski, świat baśni i życia uboższego juchasa. Najobszerniejszym dziełem poetyckim Petőfiego jest Apostoł (1848), utwór najlepiej odzwierciedlający nadzieje i myśli pokolenia roku 1848. Bo też Petőfi jest poetą „Wiosny Ludów”, on to przewodził pieśnią i czynem ruchowi rewolucyjnemu młodzieży peszteńskiej w marcu 1848 roku, on później zagrzewał do walki swoimi lirykami patriotycznymi, on wreszcie jako oficer honwedów i adiutant Bema poległ w bitwie pod Segesvar.

W pamięci i ocenie potomnych przetrwał Petőfi przede wszystkim jako wielki i pełen temperamentu liryczny, umiejętnie nawiązujący do form poezji ludowej, wielki nie tylko w ramach poezji węgierskiej. Utwory jego były już kilkakrotnie tłumaczone na język polski (np. „Wybór poezji” w przekładzie W. Sabowskiego, 1879 r. Przekłady z poetów obcych Langego 1899 r. i „Wybór poezji” w tłumaczeniu A. Gawrońskiego (1930)).

Szandor Petőfi

Przełożył Adam Kozłowski

VAJDA HUNYADI

I

II

Przyjmijcie mnie, dostojne mury,
Otocz mnie sobą zamku sędziwy!
Bądź pozdrowiony... Gdzie żył bohater,
Serce poety bije szczęśliwie.

Tu żył — z największych wielki —
Hunyadi!
O jakaż duma pierś mi przepala!
Serca mego nagły łoskocie,
Mów, nim nadpłynie słowo jak fala.

W tych murach mieszkał może właśnie tu
Rozmyślał niegdyś, na baszcie wysokiej,
I patrzył w przyszłość, skąd teraz ja
Odległą przeszłość doganiam wzrokiem.

Tutaj wytchnienie znajdzie po trudach,
Kiedy już twarde boje przegrzmiały.
Które na wieżach Konstantynopola
Półkiszczkami dumny mi chwiały.

Sprzyja wytchnieniu zaciszna ustron...
W zielonej doliny ujęciu głębokim.
A zamek w dole, wiatry go nie tkną —
Nawet sztandaru na wieży wysokiej.

Śpi uchowane przed resztą ziemi
Święte zaciszę, nie dojrzy go świat,
Tylko z daleka, śnieżystą głową,
Gór wszystkich pradziad, stary Retyczat.

Odezwały się zamku mury olśnione:
„Kogoż ja widzę? Wielki Hunyadi!
Wieceś powrócił, o bohaterze,
Od czterystu lat czekam przez wszystkie dni

Z wiarą czekałem, że jeszcze wrócisz,
Ta wiara mocny, tą wiarą skutą —
Abym nie runął abym udźwignął
Czterowiekowy żal swój i smutek.

I powróciłeś... Bądź pozdrowiony,
Długo czekamy, gościu i ojcie! —
I żal mi tylko, że głaz nie płacze,
Abym lzy szczęścia poznał gorące!”

I odrzekł przybysz: „Żal mi cie zamku,
Że muszę radość twą zgasić, nie ten
Przyszedł, o którym marzysz od wieków,
Jam nie Hunyadi, imię moje Bem.”

I odrzekł zamek: „Cóż, że twe imię
Dźwięk miało inny — dziś inny gdy słucham
Miano jest zmienne, patrzę
Na to, co wieczne, widzę tylko ducha

Nie po imieniu poznaję ciebie,
Lecz z ducha i dzieł twoich, i widzę
Ześ jest, któryś był czterysta lat temu —
Tyś ocalił Węgrom ojczyznę!”

WĘGERSKI SZLACHCIC

(A magyar nemes)

Moich przodków miecz nieładzi
Wiś w sali, rdza go zjada;
Nikt nim dzisiaj nie wywija.
Szlachcic Węgier jestem ci ja!

Pełnię życia w sobie czuję,
Bo po całych dniach próżnuję.
Niechaj chłopca praca gniece:
Szlachcic Węgier jestem przecie!

Dobrze, chłopie, równaj drogę
Na piechotę iść nie mogę!
Koń twój prędko niech się zwija...
Szlachcic Węgier jestem ci ja!

I nauka mnie nie bawi,
Wszak uczonych bieda dławi.
Dla mnie książki to są śmiecie
Szlachcic Węgier jestem przecie!

Oto wiedza moja główna,
Rzadko kto mi w niej dorówna:
Kto tak je i wino spija?
Szlachcic Węgier jestem ci ja!

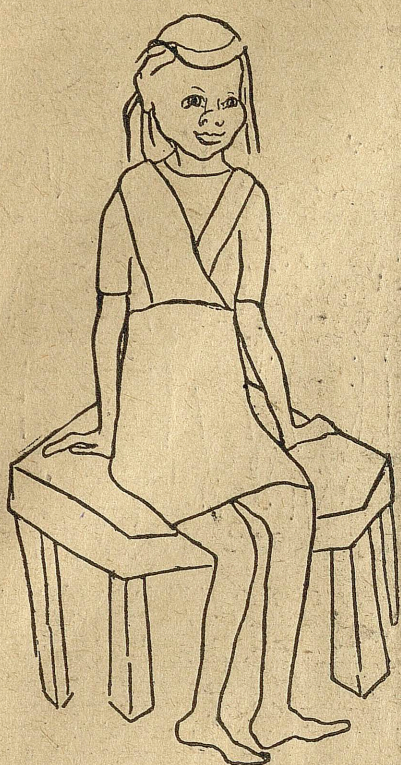
Szcześciem danin ja nie płacę;
Gospodarstwo zwolna tracę,
O mych długach dobrze wiecie
Szlachcic Węgier jestem przecie!

Cóż ojczyzna mnie obchodzi?
Troska o nią zdrowiu szkodzi!
Każda bieda jakoś mija...
Szlachcic Węgier jestem ci ja!

Gdy jak fajka się wypale,
Prawem przodków mnie wspaniale
Kraj pochowa, uczci w mowie
I uniosą aniołowie.
Bo i niebo też mi sprzyja:
Szlachcic Węgier jestem ci ja!

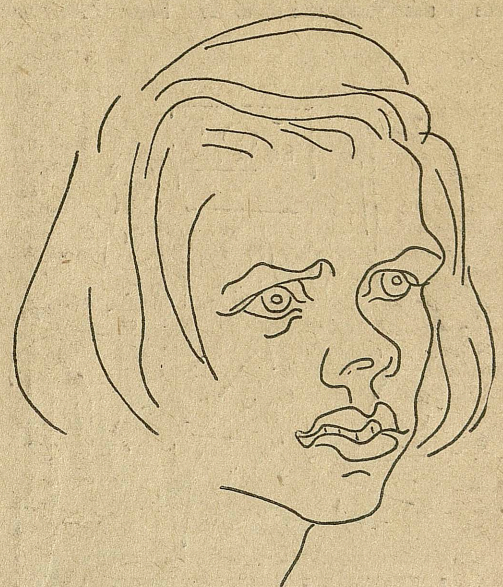
Rysunki Hanny Orzechowskiej i Władysława Strzebińskiego

PONAD MILION DZIECI NA WCZASACH



Zamieszczone na kolumnie portrety przedstawiają dzieci jednego z wielu w Polsce Domów Dziecka. W wielkiej fali dziecięcych wczasów wakacyjnych, co roku szerszej, w tym roku obejmującej ponad milion dzieci, Domy Dziecka tracą może dla turysty i wycieczkowicza na znaczeniu, zlewają się w wakacyjnym nastroju z obrazem sielanki wszelkich wczasów dziecięcych, o której źródła, środki, cele i uczestników n.e. bardzo pytamy, zadowoleni że bawią się w słońcu dzieci. A Domy Dziecka stały się przecież w Polsce Ludowej fundamentem instytucji stałej: opieki, pomocy i niesienia radości i wypoczynku dzieciom. Do Domów Dziecka napłynęły dzieci, z których prawie każde miało za sobą trudną, tragiczną przeszłość. Niektóre z nich były w Oświęcimiu, część wywieziona na roboty do Niemiec. Wiele straciło rodziców. Są i „rodzicielskie”, odebrane z domu z warunków zaniedbania i udurczenia. A ileż z nich dzieł od pobytu w Domu Dziecka długie dni tułaczki bezdomnej? Dlatego możemy nazwać Domy Dziecka fundamentem nowej, wyrażającej sprawiedliwość społeczną opieki nad dziećmi. Fundamentem, na którym akcja wczasów dziecięcych zatacza coraz szersze kręgi od najszerzych zaczynając kręgi społecznych: rodzin robotniczych, chłopskich, najmi-
tów, wyrobników i rzemieślników.

Portrety, jakie nadesłali nam H. Orzechowska i prof. Wł. Strzebiński z Domu Dziecka w Bierutowicach, odsłaniają rodowody społeczne tych dzieci, ich tragiczne minione losy i rozkwitanie w nowych warunkach opieki, którą tworzy, której bezmiennie pragnie i której strzec będzie jak źrenicy oka lud pracujący, mocny w swym sojuszu robotniczo-chłopskim i dzierżący władzę.
P. Ch.



W. Strzebiński

Barbara Dzierżba z Pruszkowa, l. 13, środowisko robotnicze, ojciec nie żyje

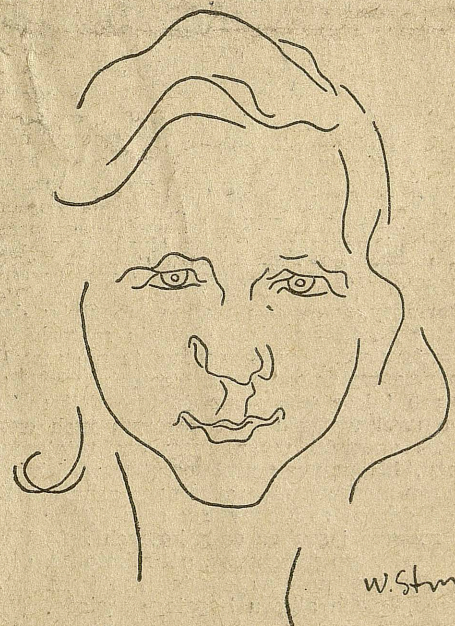


Zdzisław Janecki, l. 13, Józef Gurlew, l. 14, Witold Matyszek, l. 12



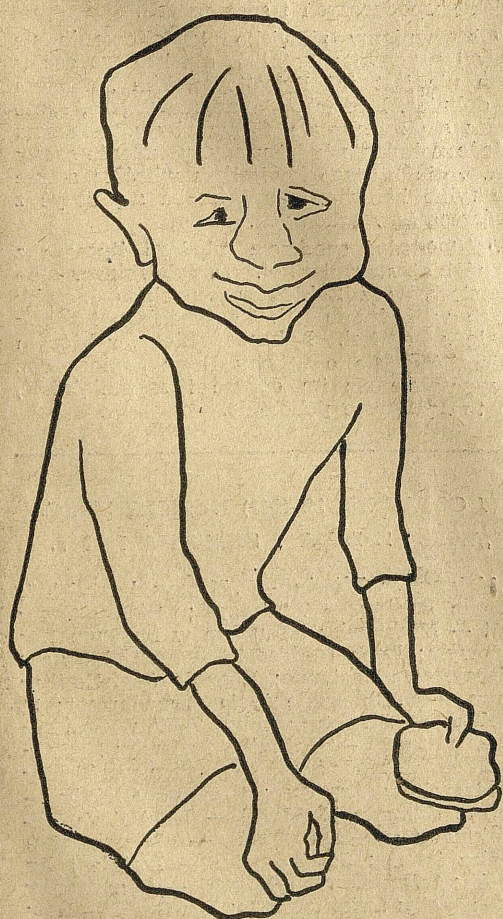
W. Strzebiński

Ryszard Piszczoko l. 10, z Warszawy, rodzice nie żyją ze sobą, dzieckiem opiekuje się matka

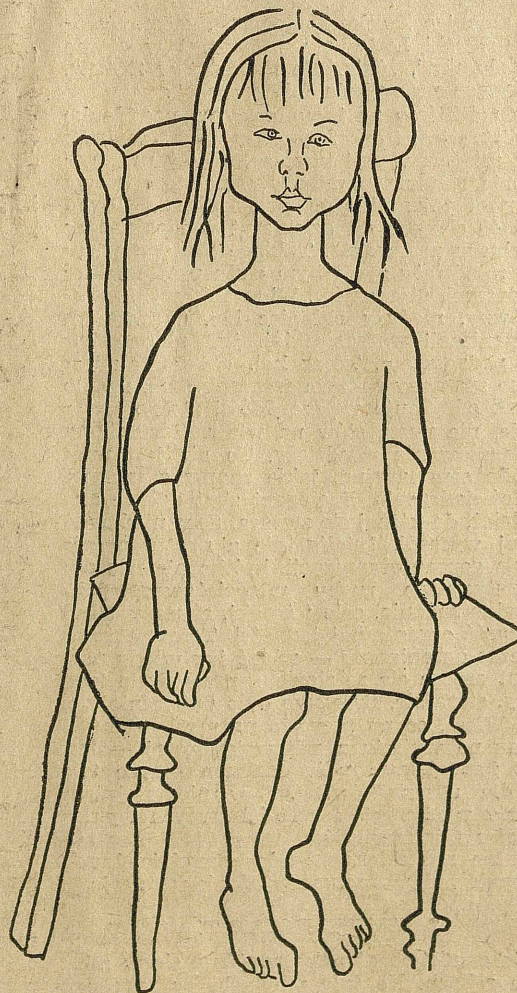
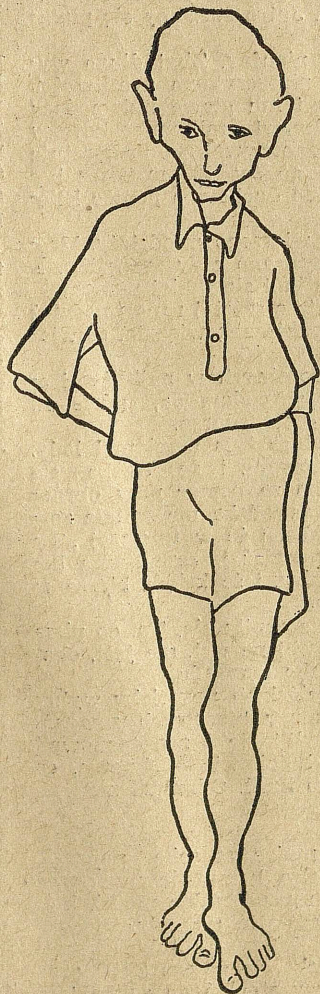


W. Strzebiński

Wanda Rulig, l. 14, z Teliganowa pod Warszawą, ojciec zginął w Dachau, matka chora nie pracuje; jest w Domu Dziecka od października 1946 r.



Kajtuś (Tadeusz) Stefański, l. 9, ze środowiska robotniczego, sierota



Wanda Kordysz, l. 9, ojciec murarz



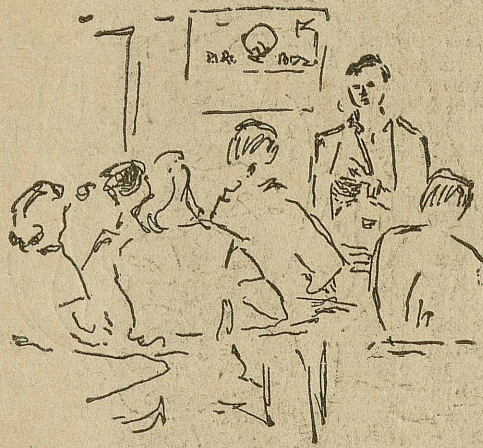
W. Strzebiński

Stanisław Miedzik, rodzice nieznani l. 8, przeszedł do IV kl., jest w Domu Dziecka od lipca 1948 r.

Edmund Niziurski

Ilustr. M. Gierowski

Pierwsze pokolenie socjalistyczne



1. SZUKA I RZECZYWISTOŚĆ

Biała, zakurzona szosa, idziemy ze stacji kolejowej Chęciny do Podzamcza, gdzie, jak wskazują troskliwie umieszczone drogowskazy, Z. M. P. rozbiło w tym roku Obóz Szkoleniowy. Podzamcze położone jest o 2 km od Chęcin, miasteczka w powiecie kieleckim, w pobliżu malowniczych ruin zamku. Spacer od stacji kolejowej do „śródmieścia” Chęcin jest bagatelką. Trwa około półtorej godziny. Ale to nie jest trudne. Podróżny może przez ten czas podziwiać krajobraz, może też zabawić się zgadywaniem, dlaczego PKP ochrzciło tę stację nazwą Chęciny. Może dlatego, żeby chęciniacy mogli zadziwiać niosy do góry, że ich miasto jest siedem kilometrów długie. Gorzej, gdy ma się z sobą walizki, jak grupa młodzieży przybywająca właśnie na drugi turnus obozu, którą powoli doganiamy.

Szosa przebiega przez wieś Tokarnie. Stefan zatrzymuje się przed zgrzybiałymi chatami. Interesują go rodzaje budownictwa, sposoby położenia strzech i stare ornamenty u szczytu chałup. Odcignąć go można od tego tylko głośnym podziwianiem pejzażu. Istotnie widok wart jest pędzla i to dobrego. Krajobraz chęciński cechują silne kontrasty barw. Gleba tutaj jest czerwona, wzgórza noszą czarne czapy lasów, niżej, na zboczach, blizny całej skały złotych odcieni zbóż, w dolinach Nidy kłębi się soczysta zieleń zarośli i łąk.

Wszystko tu przypomina jakby scenę do fantastycznej średniowiecznej sztuki, jedynie czerwone kominy wapienników nawiązują do współczesności. Do horyzontu stąd blisko. Niebo mocno przynocował do ziemi niezdarny ścieg gór. Zabiadnie trudno. Nawet, bez ZMP-owskich drogowskazów. W promieniu paru kilometrów widać wieki drogowskazy, które widać — zamek królowej Boni.

Jak zwykle w takich wypadkach, wesoły krajobraz kryje w sobie mniej wesołą treść gospodarczą i społeczną. Okolice Chęcin należą do uboższych części województwa kieleckiego. Ilość nieużytków znaczna, gleba przeważnie piaszczysta, dużo chudych, obdatych beżem lasów, z moczarów i kwaśnych łąk nad Nidą.

Marmury, kamień i wapno mogłyby dać podstawy pod rozwój przemysłu materiałów budowlanych, lecz bogactwa te nie zostały należycie wykorzystane w czasach przedwojennych i leżą odłogi. Dopiero dziś myśli się o uaktywnieniu gospodarczym tych okolic. Te warunki wytworzyły typ tutejszego chłopca, klasycznego proletariusa wiejskiego na paru morgach nieurodzajnego gruntu, który od dawna zmuszony był sprzedawać swą siłę roboczą i szukać dodatkowych źródeł utrzymania, typ pół-chłopa, pół-robotnika, pracującego sezonowo w okolicznych kamieniołomach, lasach albo u bogatego sąsiada.

2. W OBSZARNICZYM PALACU

Nareszcie jesteśmy na miejscu. Kompleks białych budynków wylania się z kępy wysokich drzew. Flaga na maszcie pośrodku dziedzińca. Po szerokich schodach dawnego pałacu obszarniczego drapiemy się do sekretariatu obozu. Duża, widna sala ozdobiona emblematami organizacyjnymi. Parę prostych ław i stołów zarzuconych papierami. Właśnie przyjechała nowa grupa młodzieży. Pochyleni nad stołami wypełniają ankiety i załatwiają formalności. Sekretariat pracuje szybko i sprawnie. Oddychamy z ulgą. Tutaj nie ma biurokracji. Zawieramy pierwsze znajomości. Kolega Perzyński przyjechał tu ze Zduńskiej Woli, gdzie pracuje jako robotnik Państwowych Zakładów Przemysłu Bawełnianego. Są także chłopcy i dziewczęta z Łodzi i z Pomorza.

Spotyka nas przyjemna niespodzianka dla reportera. Nasze incognito jest tak doskonałe, że kolega z za stołu bierze nas za uczestników turnusu i wypytuje o personalia. Prostujemy omyłkę z uśmiechem, ale nie bez żalu. Zarzucimy tym młodym zuchom czasów tutaj.

Zdemaskowani śmiejemy się po dziennikarsku zaspokajając kierownika obozu kol. Ptaszyńskiego gradem inkwizytorskich pytań. Kol. Ptaszyński uzbrojony w arsenał kartoteki i pedagogiczną cierpliwość wytrzymuje mężnie pierwszy atak. Dzięki niemu jesteśmy po chwili zorientowani w założeniach organizacyjnych obozu.

Centralny Obóz Szkoleniowy w Podzamczu został zorganizowany w ramach akcji wczasów przez Zarząd Główny Związku Młodzieży Polskiej dla aktywistów ZMP. Obóz ma

trwać przez lipiec i sierpień i objąć 4 turnusy po 2 tygodnie każdy. Ciekawie przedstawia się skład społeczny uczestników pierwszego turnusu.

Na 53 osoby młodzieży pracującej zawodowo było 37 osób, w tym robotników z przedsiębiorstw państwowych i spółdzielczych — 12, pracowników umysłowych — 6, rzemieślników — 19.

Młodzieży uczącej się w szkołach było 16 osób, w tym uczniów szkół ogólnokształcących — 6, uczniów szkół zawodowych — 10.

Pochodzenie społeczne młodzieży na pierwszym turnusie przedstawiało się jak następuje: dzieci rolników — 9 osób, w tym średniorolnych — 2, małorolnych — 7, dzieci robotników — 40, inteligencji pracującej — 4.

Pojemność każdego turnusu wynosi 170 miejsc. Z tego wykorzystanych w I turnusie zaledwie 53. Pytamy o przyczyny tego zjawiska. Kol. Ptaszyński beznadziejnie rozkłada ręce. Nie dopisał organizacji terenowej. Zbyt słabo przeprowadzano werbunek, nie uzgodniono z góry terminów urlopów z okresami turnusów. Jednym słowem „nawallia” organizacja. Ale organizacje dołowe mają jeszcze inny grzech w tym zakresie na sumieniu. Akcja werbunkowa zawiodła nie tylko ilościowo, lecz i jakościowo. Jak wiadomo, obóz przeznaczony był dla czołowych aktywistów, tymczasem w znacznej części skierowano tutaj materiał zupełnie „surowy” o niedostatecznym poziomie ideologicznym. W pierwszym turnusie, gdzie była wyraźna przewaga młodzieży pracującej (70 proc.), ten brak nie zaciążył tak bardzo na charakterze obozu, gdyż młodzież reprezentowała stosunkowo duże wyrobienie społeczne. Natomiast II turnus przedstawia się pod tym względem dużo gorzej.

W ten sposób zasadniczy charakter obozu ulega pewnemu wypaczeniu. Personel szkoleniowy musi bowiem niejednokrotnie obniżać poziom wykładów uwzględniając brak teoretycznego przygotowania uczestników.

Dużo czasu zabiera też „rozruszanie” nowoprybyłych i wdrożenie ich do dyscypliny obozowej oraz życie się i „zgranie” wzajemne, tak niezbędne w pracy zespołowej. Kiedy w końcu uczestnik turnusu na dobre zaaklimatyzuje się w obozie i oswoi z podstawowymi zagadnieniami, wykładanymi w czasie jego trwania, pobyt na czasach się kończy i trzeba pakować manatki.

Połączenie obozu szkoleniowego z akcją wczasów jest bardzo korzystne, gdyż umożliwia młodzieży pracującej pełne wykorzystanie pobytu na wczasach. Młodzież też nie tylko wypoczywa, lecz zarazem pogłębia swe wykształcenie i podnosi poziom ideologiczny. Należy tylko żałować, że w ten sposób siła rzeczy akcja szkoleniowa ogranicza się do dwu tygodni, tj. tyle, ile trwają normalne wczasy pracownicze.

Jak widzimy, czas jest tutaj na wagę złota i wszyscy zdają sobie sprawę, że tym lepiej trzeba go wykorzystywać. Pomaga w tym ściśle przestrzegany rozkład zajęć.

O godzinie 6 rano pobudka, potem gimnastyka, mycie i ubieranie. O godzinie 7.10 apel a następnie o 7.30 śniadanie. Z kolei rozpoczynają się wykłady. Po wykładach dyskusja w dziesięcioosobowych zespołach. Ten podział na małe zespoły dyskusyjne ma na celu umożliwić każdemu uczestnikowi wypowiedzenie myśli, jakie mu nasunął referat i zapewnić dokładne indywidualne opracowanie tematu przez każdego kursistę.

Tematami wykładów są przeważnie zagadnienia popularno-naukowe, gospodarcze, społeczne i polityczne. Oto kilka tematów: „O powstaniu człowieka”, „Jak walczyli robotnicy i chłopcy o Polskę Ludową”, „Podstawy ustroju Polski Ludowej”, „Młodzież w planie sześciolletnim”, „Jak żyje młodzież w ZSRR”, „Wytoczne pracy koła fabrycznego”.

My trafiliśmy na inauguracyjną pogadankę pt. „Czym jest i do czego dąży ZMP”. Zajmujemy miejsca w sali tutejszej szkoły przysposobienia rolniczego między szkieletem krowy i innymi tajemniczymi preparatami. Przed nami 40 chłopców i dziewcząt w idealnej ciszy słucha prelegenta. Takiego skupienia i uwagi młodzieży życzylbym ciu profesorów naszym gimnazjom. Widocznie wykładowca, żywy, nieduży chłopiec kol. Wawszczak z organizacji warszawskiej, jest nieprzeciętnym pedagogiem. Teraz kol. Wawszczak jest trochę speszony naszym wtargnięciem, rychło jednak odzyskuje werwę. Mówi głośno i wyraźnie, nie rzuca słów na wiatr. Rozumiemy zainteresowanie młodzieży. To nie jest nudna piła seminaryjna, jakie znamy z własnego doświadczenia. Prelegent zbyt dobrze zna młodzież, do której się zwraca. Sam niedawno z niej wyszedł. Inteligentnie a prosto przedstawia genezę organizacji, krótko historię demokratycznego ruchu młodzieżowego, jego aktualne zadania, cele i środki, akcentuje konieczność organicznej jedności. Temat ogromny, czas ograniczony — widać jak młody prelegent zmaga się ze słowem, przełamuje jego opory, stara się, by słowo było najtrafniejsze.

Wiesz, co mi przyszło na myśl — mówi Stefan po wyjściu z sali wykładowej — ten obóz jest obozem uniwersalnym — nie tylko dla uczestników. On w nieminiejszym stopniu wychowuje i kształci samych wykładowców i instruktorów.

Stefan ma skłonność do paradoksalnych sformułowań. Tym razem jednak ma rację.

3. STARSZY KOLEDZY

Kierownictwo ośrodka znajduje się w młodych rękach. Na tyle młodych, by rozumieć młodzież i utrzymać niezmiennie cenny w pracy, wychowawczej stosunek starszego kole-

żeństwa. A jednak są to ludzie ideowo dojrzały i doskonale przygotowani do pracy społecznej. Lecz myliłby się, kto by ich uważał za ludzi skończonych. Oni kształcą się w dalszym ciągu.

Od pierwszego zetknięcia z młodym kierownictwem obozu zdaliśmy sobie sprawę, że mamy do czynienia z ludźmi nowej epoki, którzy czymś zasadniczym różnią się od przedwojennej młodzieży. Zaczęliśmy się zastanawiać, na czym polega ta różnica. Oczywiście można było od razu sobie powiedzieć, że to socjalizm wydobywa na powierzchnię utajone siły społeczne, że jest jedynym podłożem, na którym mogą w pełni rozwinąć się i dojrzeć młode talenty, że mamy do czynienia z nowym typem człowieka, jaki kształtuje się w Polsce zdążającej do socjalizmu.

Musieliśmy dopiero zobaczyć, jak kol. Wawszczak wyklada, jak kol. Urbaniak prowadzi ćwiczenia sportowe, jak kol. Ptaszyński organizuje, jak ci młodzi ludzie podchodzą do swojej pracy. Wtedy odpowiedź nasunęła się sama. Tym, co charakteryzuje tych młodych ludzi, co upodabnia ich do siebie, a zarazem wyodrębnia od dawnej młodzieży, co nadaje zasadniczy styl ich życiu, jest nowa postawa wobec pracy. Są to ludzie, którzy z twórczą pracą społeczną uczynili zdrową, absorbującą ich zupełnie namiętność. Młodzieńcza ambicja znalazła naturalny, radosny teren wyładowania się. Poszła w niepamięć modna niegdyś u młodzieży poza zblazowania, spleenów, mdłych snów o potęgę, którą do niedawna uważano za konieczną przypadłość pewnego wieku, a która wyrastała na pożywcze beznadziejności społecznej kapitalizmu.

Mimo woli narzuca się zestawienie z przedwojennymi obozami harcerskimi, gdzie w większości przypadków praktykowano nawzajem na sobie kult wodzostwa, gdzie żyły różne niedorożki hitlerki, gdzie ideą była bezdecepcyjność oświaty frazeologią 10 praw. Pamiętamy, jakimi środkami starano się odciągnąć myśl młodzieży od dociekania istotnych przyczyn zła społecznego. Pamiętamy, jak grzechot harcerskich werbli głużył walkę klasową.

Kiedy wychowanek ówczesnego obozu przeszedł później przez wielkie pranie, jakiego rzeczywistość nikomu nie szczędziła, okazywało się, że frazes braterstwa harcerskiego jest nalotem, który puszcza bez mydła, przy pierwszym starciu interesów klasowych.

Kapitałizm już przed tym określił, komu jakie ma przypaść miejsce w życiu. Z dwu wychowanków obozu jeden, mimo braterstwa, musiał pozostać proletariatem, drugi, mimo braterstwa, najpierw rozbił się z pałką na uniwersytecie, potem na zgłębieniu pleców dawnym braci z obozu, z którymi śpiewał „Złazeni kłębem braterskiej miłości”... drażał się na szczeble kariery.

Dziś idziemy przez dziedziniec Podzamcza, gdzie w lipcowym słońcu w rytm gimnastyki wyprostowują się dziesiątki rąk młodzieńców. I zdaje nam się, że wraz z tymi młodymi rękami wyprostowuje się w słońcu pięknego Podzamcza z dawnych załamań i zniekształceń — charakter polskiej młodzieży.

4. KONTAKTY SPOŁECZNE I PODEJRZLIWY KULAK

Obóz w Podzamczu za jedno z głównych zadań postawił sobie nawiązanie kontaktu z miejscową ludnością i oddziaływanie na nią w kierunku kulturalno-oświatowym.

Okazało się, że do pierwszych kontaktów nie dała długo na siebie czekać.

Koło Chęcin żniwa w całej pełni. ZMP zaoferował pomoc najbardziej potrzebującym rolnikom.

— Liczcie na nas. Jutro stawimy się punktualnie o szóstej.

Lud kielecki jest nieufny. Zbyt długo wyzyskiwano go pod płaszczykiem życzliwości. Zbyt długo zawracali mu głowę ludomaniacy wybawiciele i fałszywi mikołajczykowscy prorocy. I nierzadko przekonywał się, ile kosztuje „pomoc” udzielona „po sąsiedzku” przez bogacza wiejskiego, albo duchowną pomoc księdza proboszcza.

Zrazu nie bardzo wierzą młodzieży. Kręcą głowami, odwracają oczy wstydlawie. Niektórzy po prostu bali się takiej pomocy.

A jednak dokładnie o szóstej rano młodzież stawiała się, kościół, odbierała, wiązała, stawiała snopy.

Pomoc objęła małorolnych w najbliższej okolicy, głównie te gospodarstwa, gdzie od czasu wojny brakło gospodarza.

Widok równo ściętego żyta przełamał lody. Pogadano o tym i owym, i że trzeba się sprzedawać bogaczom za pomoc przy obróbie pola, i że pomoc sąsiadka nie została zorganizowana jak trzeba, i że w tutejszej „Samopomocy Chłopskiej” wciąż jeszcze siedzą bogacze i ich poplecznicy, i że ksiądz bierze ośm tysięcy za ślub.

Twarze chłopców zaszpeili się. To, co pisał prasa o walce klasowej na wsi, nie jest, okazuje się, dziennikarską przesadą.

Zza wesołych chęcińskich pagórków wyłoniły się ciemne chmury klasowych zmagani.

Raz chłopcy pomylili się i zaproponowali pomoc wiejskiemu kulakowi — sknerze, co samotnie sobie żytko kosił. Odmówił niegrzecznie.

— Obejdzie się.

Bogacze wiejscy mając za sobą poparcie kleru, prowadzili ostrą kampanię przeciwko uczestnikom obozu, rozpuszczając plotki, które w ich klasowym pojęciu mogły „popsuć opinie” młodzieży. Jednym z takich „oszczerstw” była pogłoska, że pomoc ZMP przy żniwach, to „pierwszy stopień do zakładania przymusowych spółdzielni produkcyjnych”.



Praca przy żniwach zbliżyła młodzież do miejscowej ludności. Lecz ZMP-owców nie czeka na takie okazje. On sam je stwarza. I turnus zorganizował trzy ogniska, na które zaproszono tutejsze społeczeństwo. Wszystkie ogniska wypadły dobrze. Rzecz zrozumiała, najlepiej dopisała wiejska młodzież. Każde ognisko składało się z części poważnej, z pogadanki na popularne oświatowe tematy i z części rozrywkowej. Początkowo wszystko było sztywne, ale przy wspólnej piosence i zabawie pomieszały się organizatorzy z publicznością — ogniska spełniły swoje zadanie. Były prawdziwym wydarzeniem w tych zapadłych kątach.

Nawiązano również kontakty z miejscowym kołem ZMP. Planuje się wspólne szkolenie. Utrzymuje się stała styczność z młodzieżą miejscowej szkoły rolniczej. — Szkoda tylko, że teraz u nich przypada najgorętszy okres nauki. Są bardzo zajęci.

5. PIERWSZE POKOLENIE

Korzystając z tego, że chłopcy mają nieco wolnego czasu przysiadamy się i gawędzimy. Rozmowa rychło schodzi na tory zasadnicze. Jeszcze raz okazuje się, jak czułym wskaźnikiem zmian społecznych jest świadomość młodzieży. W niedalekiej przeszłości właśnie młodzież najgłębiej odczuwała wyzysk i niesprawiedliwość ustroju, obecnie najszybciej reaguje na zdobyte socjalne i gospodarcze władzy ludowej.

Jak zwykle u młodych ludzi, podejście do zagadnień społecznych jest uczuciowe. Widać, że jeszcze ich głębiej nie przemysleli, że reakcje polegają na spontanicznych odruchach sympatii lub antypatii. Wszyscy z naciskiem podkreślają, że najwięcej ich cieszy w dzisiejszej rzeczywistości równość. Ona daje poczucie pełnowartości społecznej i godności ludzkiej. Młodzież robotnicza czuje, że jest przedmiotem szczególnej troski państwa ludowego. To ogromnie dodatnio wpływa na samopoczucie.

— Dopiero dzisiaj chce się naprawdę pracować — zauważa młody robotnik z Radomia.

Mechanizm gospodarki kapitalistycznej stanowi dla większości zagadkę. Wiedzą, że kapitalizm to system gospodarczy sankcjonujący wyzysk człowieka przez człowieka, nie potrafią jednak wyjaśnić, dlaczego w tym systemie wyzysku nie da się uniknąć. Ta młodzież dopiero tutaj na obozie zdobędzie podstawy przygotowania teoretycznego i zapozna się z naukowym wykładaniem zjawisk gospodarczych i społecznych.

Obserwujemy zjawisko kształtowania się nowej psychiki robotnika, dla którego socjalizm nie jest już Priestleyowskim „miałem w dolinie”, lecz właśnie najwykleszą, samo przez się zrozumiałą formą bytu. Wzrasta młode pokolenie ludzi pracy, pokolenie szczepione, dla którego kapitalizm wkrótce stanie się tylko historią, której trzeba się uczyć z podręczników szkolnych.

Jeśli kiedyś spotkacie młodego ślusarza z toruńskiej stoczni kol. Smigielskiego, albo metalowców z Zakładów Wyróbów Metalowych w Radomiu kol. Chojackiego, i Pierzchałę albo kol. Łukaszczyńskiego, z którym spieraliśmy się o „Cichy Don” Szolochowa, przypatrzcie się im dobrze i zapamiętajcie, bo to... pierwsze pokolenie.

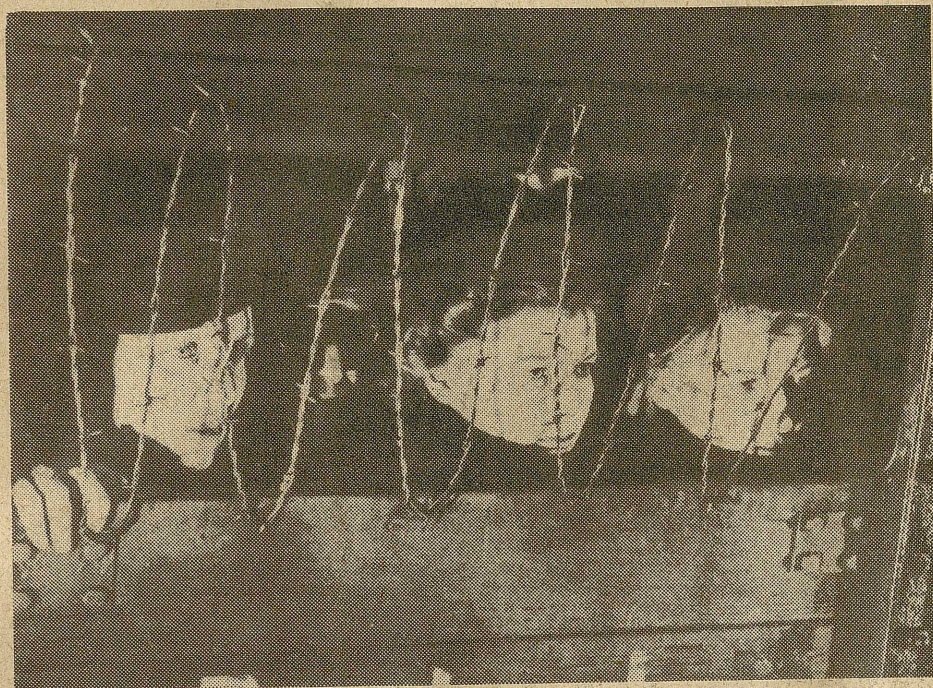
W OSTATNIM 32 (211) NUMERZE TYG.

„WIEŚ” Z DNIA 7 SIERPNIA 1949 r.

Aleksander Litwin — „Kryzys brytyjski”; Roman Bratny — Towarzysz; Stefan Trengutt — Mickiewicz i Puszcza w Muzeum Narodowym; Lech Budrecki — „Mickiewicz”; Mieczysława Jastruna; Eugenia Jagiello-Stysiowa — „Chłopskie życie gospodarcze”; F. Barkow — Struktura rolna ZSRR; Konstanty Grzybowski — Genealogia zdrady; Krystyna Michalik Nedelković — Rasizm wśród najmłodszych w Ameryce; Klemens Oleksik — Dymy; Edmund Niziurski — Na Polach Elijskich; Tadeusz Kubiak — Mieszkańcy koniec świata; Józef Rogan — Ludzie i ludziska; Władysław Borkowski — O zagadnieniach teatru światłociepłego; Jan Orski — Rozważania pokłętne; Gustaw Tomala — O młodzieży naszej gminy; Jan Bicki — Jeszcze o czytelnictwie wiejskim; Eugenia Mądrowa — Magiczne myślenie psychologa; Fakty i zdania; 8 ilustracji; 12 stron.

Lech Budrecki i Witold Jedlicki

PIĘCIOLECIE FILMU POLSKIEGO



„Ostatni etap”



Aby dobrze zrozumieć osiągnięcia, jakich w dziedzinie realizacji pełnometrażowych filmów fabularnych dokonano w Polsce Ludowej, należy uświadomić sobie drogę, po której przebiegała twórczość filmowa naszego kraju w przeciągu ostatnich przynajmniej dziesięciu lat poprzedzających drugą wojnę światową. Staje się to tym ważniejsze, że zarówno „Ostatni etap” jak i „Ulica Graniczna” — a te dwa dzieła sztuki uważamy za najpoważniejsze osiągnięcia polskiej kinematografii powojennej — wyrosły z trudu przezwyciężenia pewnych konwencji artystycznych i ideologicznych, z którymi w dwudziestolecie spotykaliśmy się najczęściej. Były to konwencje zarówno scenarzystowskie jak i realizatorskie, przy czym te ostatnie objawiały się szczególnie silnie w sugerowaniu aktorom pewnej koncepcji ich roli.

Pierwszą z tych konwencji była swoista anonimowość środowiska społecznego, anonimowość, którą nieliczni tylko reżyserzy potrafili przełamać (np. Ford w „Legionie ulicy”). Oczywiście, anonimowość ta nie obowiązywała we wszystkich typach filmu, dlatego też postaramy się tu przeprowadzić specyfikację najczęściej pojawiających się na ekranach (różnych w latach 30-tych) dzieł sztuki filmowej. Mielśmy tu do czynienia z filmami, zdradzającymi tendencje komediowego happy-endu, sugerującymi pomysłowość w rozwiązywaniu wszelkich przedstawionych konfliktów, dalej filmy historyczne, ujawniające ideologię nacjonalistyczną, głoszące, że w dziejach narodu polskiego mamy do czynienia ze zdumiewającą wręcz zgodnością interesów wszystkich grup społecznych, będących jednak niestety odpowiedzialnymi za drobniomieszczańską literaturę tych lat (mały realizm!), gdzie to przyczyną bezrobocia np. okazują się „zli ludzie” — zli przełożeni, zli fabrykanci itd. Jeśli wspominaliśmy o anonimowości, to dotyczyła ona przede wszystkim filmów pierwszego rodzaju, owych najprzeróżniejszych komedii i fars, na podstawie których nie można było ustalić, do jakich grup społecznych należą ukazywani nam bohaterowie. Jedyną rzeczą istotną były bowiem perypetie erotyczne zakończone nieodwołalnie pomyślnym finałem, naturalnie małżeństwem. Ale i tutaj wkrótce zarzucono tę konwencję, co można zaobserwować na filmach z Adolfe Dymszą w roli głównej, takich jak np.: „Paweł i Gawel” lub „Robert i Bertrand”, w których to bohaterami zostawali ludzie z określonych grup zawodowych, najczęściej drobniomieszczańskie, względnie inteligencja urzędnicza. Niemniej jednak fabuła sprowadzała się do wyrażenia swoistej „filozofii”, której naczelnymi tezami było to, że istnieją ludzie dobry i zli, mniej lub bardziej śmieszni, że możliwy jest awans społeczny, że nie ma walki klasowej, że wszystko w Polsce dzieje się jak najlepiej.

Drugą grupę stanowiły filmy o tematyce historycznej, takie jak np. „Kościusko pod Racławicami”, dążące do narzucenia widzowi przekonania o wewnętrznej jednolitości narodu polskiego, widzące we wszelkich przejawach niepodległościowych wyłącznie starcie między dwiema grupami nacjonalnymi. Filmy te realizowane były zazwyczaj z absolutnym brakiem troski o prawdę historyczną, którą dostosowywano w sposób bezczelny do ogólnej koncepcji, pełniąc za zwyczaj tę samą rolę co w utworach komediowych, tj. stawała się ona wykładnikiem ideologii solidaryzmu społecznego zaprawionego sosem naiwnego hurra - patriotyzmu.

Wreszcie trzeci ze wspomnianych typów filmy ukazujące w jakimś stopniu pewne przejawy życia społecznego w Polsce, ale interpretujące je w myśl drobniomieszczańskiej filozofii, która nie oskarżała ustroju, a jedynie charakter i postępowanie poszczególnych ludzi. Chodzi tu nam przede wszystkim o „Dziwcząt z Nowolipki” i o niektóre filmy realizowane według powieści Tadeusza Dołęgi - Mostowicza. Tak to słynna trylogia

o doktorze Wilczurze, sprowadzała się do problemu dramatu psychicznego zdradzonego męża i co najwyżej obwiniała sprawność służby sanitarnej na wsi.

Tak więc sytuacja filmu, który służył w owym czasie konkretnym celom burżuazji i drobniomieszczaństwa (komuż bowiem innemu mogła służyć nieskomplikowana ideologia komedii filmowej, stanowiąca apologię istniejącego ustroju społecznego), była wręcz tragiczna. Jeżeli zestawimy osiągnięcia sztuki filmowej w Polsce z dokonaniem w tej dziedzinie na terenie ZSRR, czy też z dziełami postępowych reżyserów zachodnio-europejskich, to porównanie takie stanowić będzie doskonale potwierdzenie naszej oceny. W momencie gdy na zachodzie mieliśmy do czynienia z zablakowanymi, ale bądź co bądź wymierzonymi w strukturę społeczną kapitalizmu poczynaniami awangardy, kiedy Jean Vigo tworzył „Atalantę”, kiedy Jean Renoir przystępował do nakręcania „Zasad gry”, najbardziej reklamowanym osiągnięciem polskiej kinematografii była wciąż „Granica” wypaczająca całkowicie sens znakomitej powieści, według której film miał zostać zrealizowany, pozostał dramat miłosny z cyklu „Pani czy służąca”, świetnie zastępujący problematykę walki klasowej. Umyślnie — z powodu trudnej do porównania sytuacji społecznej obu krajów — nie przywoływaliśmy tu dzieł filmowych produkcji radzieckiej, umyślnie apelowaliśmy jedynie do twórczości krajów oświeconych przez kapitalizm. I tu musimy stwierdzić, że dzieł takich, jak „Grona gniewu” (John Ford wg powieści Steinbecka, film reprezentujący postępowe tradycje amerykańskich klas średnich w pewnej specyficznej sytuacji) czy jak niektóre dzieła Pabsta tak charakterystyczne dla dażeń artystycznych niemieckiej postępowej inteligencji lat 30-tych, film polski dzięki specyficznej sytuacji, w jakiej kraj nasz się znajdował, stworzyć nie potrafił.

Tak więc filmowcy nasi w pierwszych latach po wojnie stanęli wobec wyjątkowo ciężkiego zadania. Musieli przede wszystkim podjąć trud odbudowy całkowicie zdevastowanych przez okupanta urządzeń technicznych niezbędnych do produkcji filmowej, musieli przekształcić oblicze społeczne filmu, musieli wreszcie wypracować nowe wzorce estetyczne. Reforma ustrojowa, jaka doko-

nała się w Polsce po wojnie, musiała pociągnąć za sobą gruntowną zmianę funkcji społecznej filmu. O ile w Polsce sanacyjnej, podobnie zresztą jak we wszystkich krajach kapitalistycznych (czego najtypowszym przykładem jest Hollywood), film był towarem produkowanym wyłącznie w celach komercyjnych i jak każdy towar podlegał wszelkim anomalom gospodarki kapitalistycznej, o tyle film w ustroju socjalistycznym musi być jednym z podstawowych narzędzi wychowawczych służących podnoszeniu poziomu kulturalnego mas. Tak więc film polski stanął wobec zadania zmiany swej podstawowej funkcji (w czym zresztą sytuacja tej gałęzi sztuki nie różniła się zasadniczo od sytuacji w innych dziedzinach twórczości artystycznej). Celem naszego artykułu będzie właśnie sprawdzenie, w jakim stopniu polska twórczość filmowa zadanie to dotychczas spełniła.

U podstaw kryzysu, którego świadkami byliśmy, śledząc pierwsze powojenne polskie filmy, była konieczność przezwyciężenia kanonów artystycznych twórczości filmowej przedwojennej, a zarazem nawiązanie do niektórych postępowych tendencji okresu przedwojennego. Zasadnicze potknięcia w tej dziedzinie zaobserwować możemy już w pierwszym polskim fabularnym filmie długometrażowym: „Zakazane piosenki”, potknięcia, powodujące zweekslowanie filmu tego na tory ideologii drobniomieszczańskiej. Stało się to na skutek tego, że realizatorzy „Zakazanych piosenek” z respektem godnym lepszej sprawy wykorzystali schematy estetyczne filmu przedwojennego, począwszy od takich, jak to, że akcja filmu musi być powiązana z treścią śpiewanych na nim piosenek, a skończywszy na schemacie erotycznym, objawiającym się w zupełnie podobnych, co w filmie przedwojennym koncepcjach ról aktorskich. Nowa przedstawiona na filmie tym tematyka musiała ulec wykoszlaniu, właśnie dlatego, że ujmowano ją w myśl dawnych kanonów, w rezultacie czego otrzymaliśmy niesamowicie zafalszowany obraz konspiracji i powstania warszawskiego, w którym to lata 1939—45 okazały się ni mniej ni więcej, jak tylko zbiorową i solidarną walką całego narodu (jeszcze raz „Kościusko pod Racławicami”) przeciw niemieckim okupantom. Antagonizmy klasowe uznano za nieważne, usuwając je na margines

właściwej fabuły. Z takiego potraktowania tematu bieżę się również to, że występujący w filmie Niemcy są przerażająco głupkowaci i śmieszni, że konspiracja polega w olbrzymiej mierze na śpiewaniu piosenek, że jedynym podziałem występujących postaci jest podział ze względu na ich dyspozycje psychiczne: dylemat tchórzostwa i bohaterstwa; na koniec, że cała rzeczywistość okupacyjna stawała się groteską, taką mniej więcej, jaką widzieliśmy przed wojną na „Bolku i Lolku”, „Sportowcu mimo woli”, czy „Manewrach miłosnych”. Trzeba dodać, że wszystkich tych błędów nie uniknęła również druga wersja tego filmu.

Jeżeli zajęliśmy się „Zakazanymi piosenkami” nieco szerzej, to nie był to przypadek. Film ów z łatwością bowiem można skonfrontować z późniejszymi osiągnięciami polskiej kinematografii, posiadającymi zbliżoną tematykę, a stanowiącymi próbę rozrachunku z okupacją. W ten sposób jesteśmy w stanie z dużą dokładnością prześledzić formowanie się nowego stylu realizatorskiego i scenarzystowskiego. Rzecz prosta, myślimy tu o „Ostatnim etapie”, „Za wami pójdą inni” i „Ulicy granicznej”. Te trzy dzieła tworzą w każdym wypadku jakies podsumowanie, dokonane oczywiście z pewnych pozycji ideologicznych, rzeczywistości okupacyjnej, to jest tych wydarzeń historycznych, które rozgrywały się na terenie Polski od roku 1939 do końca wojny.

„Ostatni etap” przedstawiał obóz koncentracyjny, „Za wami pójdą inni” — konspirację w okupowanej Warszawie, „Ulica Graniczna” — obejmowała problem eksterminacji Żydów. Filmy te w pewnym stopniu zdołały przełamać ten typ twórczości, którego ostatnim (jak chyba mamy prawo przypuszczać) pogłosem okazały się „Zakazane piosenki”. Najmniej śmiały niestety obrazem społeczeństwa polskiego był ten, jaki widzieliśmy w „Ulicy Granicznej”. Sąd ten, być może bardzo ryzykowny, postaramy się zaraz uzasadnić.

„Ostatni etap” potrafił ukazać nam nie tylko ten typ ideologii, który reprezentował faszyzm niemiecki, nie tylko pokazało nam specyficzne „wychowanie” przeprowadzone w ramach pewnej struktury administracyjno - państwowej, ale co więcej, zróżnicowanie klasowe kapów i więźniów zarówno ze względu na ich genealogię społeczną, jak i ze względu na rolę, jaką pełnili w obozowym aparacie administracyjnym, przeprowadzone zostało z niezwykłą wręcz precyzją. Klasowy przedział tworzący się wewnątrz tak specyficznej struktury społecznej, jaką był obóz koncentracyjny, udało się Wandzie Jakubowskiej podchwycić, przezwyciężając ten charakterystyczny szablon wielu dzieł tzw. literatury obozowej, jakim była specyfikacja postaci na oprawców i uciemiężonych, na Niemców i Polaków.

Zresztą, ten nowy typ widzenia wydarzeń historycznych, których terenem była Polska w przeciągu kilku lat wojny, zdradza niewątpliwie również debiut filmowy Antoniego Bohdziewicz: „Za wami pójdą inni”. Problem walki klasowej zarejestrowany w przedstawieniu dzieł konspiracji, wskazuje wyraźnie na to, że walka z faszyzmem była walką nie tylko z niemieckim policjantem czy esesmanem, lecz także z własną lumpenburżuazją. Konspiracja nie jest jednolita. Oprócz działaczy AL i GL pokazano nam również wyznawców ideologii „stania z nogą”, której funkcja społeczna została w diadogach filmu zdemaskowana jako służąca interesom angielskiej burżuazji.

Cóż jednak zawiodło w „Ulicy Granicznej”? Ford, mając przed oczyma martyrologię narodu żydowskiego, potrafił stworzyć apologię zarówno żydowskiego mistyka religijnego, jak i bohaterskiego powstańca — proletariusza; bo przecież obaj ginęli. Kult dla mecenastwa zasłonił mu zagadnienie: kto był męczony. Gineł Żydzi, wiemy o tym, kim byli ci Żydzi. Jaką funkcję klasową peł-

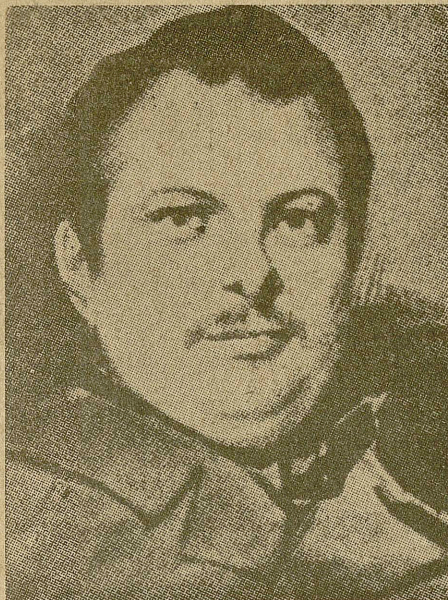
(dalszy ciąg na str. 14)



„Ulica Graniczna”

Roman Zimand

Buchalteria kapitalizmu „kwitnącego”



Honoré Balzac

Maksym Gorki niejednokrotnie podkreślał, że tworzenie nowych wartości w kulturze musi być ściśle związane, a w pewnym sensie nawet oparte na dorobku kulturalnym przeszłości. Jest to linia wytyczna polityki kulturalnej socjalizmu. Stąd też Związek Radziecki jest krajem, w którym stosunek do klasyków literatury wszystkich narodów służyć może za wzór; stał się on jedną z przyczyn rozkwitu kultury radzieckiej.

Jednocześnie współczesnemu rozkładowi kultury kapitalizmu towarzyszy nihilistyczny stosunek do dorobku kulturalnego własnego kraju. Niedawno „Trybuna Ludu” zamieściła artykuł Pierre Daix'a o rocznicy balzakowskiej we Francji. Autor w związku z 150 rocznicą urodzin Balzaka cytuje tam wypowiedzi takich „koryfeuszów” współczesnej kultury burżuazyjnej jak np. Jules Romains. Ignorancja współzawodniczy tu z zakłamaniem. Paskiwie paszkwile na Balzaka, stanowiące ogromną większość tych wypowiedzi, dominują przy ujmowaniu postaci oraz twórczości Balzaka także i w oficjalnej nauce o literaturze, przeznaczonej dla użytku młodzieży.

Honoriusz de Balzac, urodzony w Tours w 1799 r., był początkowo pomocnikiem notariusza, następnie utworzył spółkę z pewnym drukarzem, lecz udało mu się tylko zadłużyć. Od 1820 zaczyna pisać i zabija się pracą, stale niepokojony brakiem pieniędzy, początkowo potrzebnych dla spłacenia jego własnych długów, następnie dla zaspokojenia żądania do szerokiego życia i bawidełek, dla pokrycia deficytu spowodowanego nieścisłymi spekulacjami. Niedługo po zaślubieniu hrabiny Hańskiej, z którą prowadził przez 15 lat pasjonującą korespondencję (Lettres à l'étrangère) padł przy pracy rażony apopleksją.

Cytowane powyżej zdania stanowią cały życiorys Balzaka, jaki podaje podręcznik literatury francuskiej Histoire illustrée de la Littérature Française, wydany we Francji w 1947 r.

Literaturoznawstwo współczesnej burżuazyjnej Francji dostrzega więc w Balzaku po prostu mieszczańskiego grosziora, który próbował zdobyć majątek różnymi drogami, między innymi pisanie książek. Poza tym nie chce przeceniać jego znaczenia i jeśli umieszcza go w podręczniku szkolnym, to raczej ze względu na wymogi naukowej ścisłości.

Świadczyć o tym może zdanie, którym rozpoczyna się „conclusion” tego paszkwilu na genialnego pisarza: „Pomimo wielkiej ilości zbędnego balastu, dzieło Balzaka przetrwało do dziś”.

„Kultura zachodnia” dzisiejszej reakcyjnej Francji odsłoniła swe kosmopolityczne oblicze. Nauka burżuazyjna stara się pomniejszyć pisarza, będącego chlubą narodowej kultury Francji. Boi się wielkiego demaskatora, boi się ukazującej przez niego prawdy. Wykluczyć musi z ram przejmowanego przez siebie dziedzictwa kulturalnego jeden z najdonioślejszych w historii kultury procesów: narodziny współczesnej powieści.

U ŹRÓDEŁ NOWOCZESNEJ POWIEŚCI

Wiek XVIII i pierwsza połowa XIX to okres burzliwych przemian ekonomicznych i społecznych. W Europie Zachodniej rodzi się w bólu i mecie nowe społeczeństwo, które, wywalczając sobie społeczno-polityczne podstawy rozwoju, żąda nowej sztuki, nowej literatury. Na wschodzie Europy społeczeństwo rosyjskie, pchnięte ręką Piotra I na przód, dławione przez cara a jednak pełne buntu, żąda od swoich pisarzy wystawienia rachunku epoki.

Narodziła się realistyczna powieść związana z czterema nazwiskami: we Francji — Stendhal i Balzac, w Rosji — Puszkina i Lermontowa. Mimo istotnych różnic w charakterze ich twórczości, uwarunkowanych odmiennym układem historycznym, metoda artystyczna, którą się posługują wszyscy czterej, metoda realizmu krytycznego — stawia ich w jednym rzędzie, jako twórców nowoczesnej prozy.

Burżuazyjne literaturoznawstwo przyznało Balzakowi rangę „ojca powieści”. Pominąwszy fałszywy historyczny, zawarty w tendencyjnym przemilczeniu nazwisk Puszkina, Lermontowa czy Stendhala, nazwa ta w tradycyjnej wiedzy o literaturze pozostała pustym frazesem. Słusznej analizie twórczości wielkiego pisarza i jego wkładu w dzieło nowoczesnej powieści dokonało literaturoznawstwo marksistowskie, które większość jego pozwala zrozumieć i ocenić w konfrontacji z epoką, w której tworzył.

EPOKA I PISARZ

Twórczość Balzaka związana jest jak najsilniej z dwoma okresami historii Francji: z Restauracją Burbonów i z monarchią lipcową Ludwika Filipa. Urodzony 20. 5. 1799 r. Balzak rozpoczyna swą żmudną drogę wielkiego artysty w ostatnich latach panowania Karola X i pracuje nieprzerwanie do śmierci, tj. do roku 1850. Ołbrzymia większość 92 tomów „Komedi ludzkiej” — to właśnie historia Restauracji i monarchii lipcowej.

Latą 1815 — 1848 to okres burzliwych przemian ekonomicznych i ostrej walki klasowej we Francji. Rewolucja francuska oczyściła we Francji drogę kapitalizmowi i gospodarka kapitalistyczna rozwija się tu systematycznie.

Jednak decydującą rolę w życiu gospodarczym Francji tych lat odgrywa nie burżuazja przemysłowa a finansjera. Niekoronowanym królem kraju był kapitał bankowy, stolicą — nie Paryż a giełda. Laffite i Perier, a u Balzaka Gobsec i de Nucingen — oto prawdziwi władcy Francji.

Przemianom w życiu gospodarczym kraju towarzyszą silne walki klasowe. Rola przodującą odgrywa z pozoru burżuazja. Jest to jednak w znacznej mierze złudzenie.

Wprawdzie arystokracja ziemiska — szczególnie za Burbonów — wciąż jeszcze ma wiele do powiedzenia, wprawdzie burżuazja wciąż jeszcze walczy o jak najwygodniejszą dla siebie pozycję, jednak istotna linia podziału przebiega już gdzieś indziej. Na przedmieściu św. Antoniego w Paryżu, w ośrodkach przemysłowych prowincji rodzi się nowa klasa, nowa siła, która napawa strachem od pierwszych dni swego istnienia zarówno tych, którzy żyją z renty gruntowej, jak i giełdarskich obcinaczy kuponów. Wielka parodia złudzeń rewolucji 1789 r. zaczyna się na dobre.

Burżuazja rozumiała, że prędzej czy później przyjdzie jej stanąć oko w oko z rewolucją, wobec której rok 1793 był nieomal że dziecinna zabawką. Rozpoczyna się zwracanie nowoczesnego kapitalizmu — przede wszystkim bankowego — z resztkami wiekowej arystokracji. Proces ten jest jednym, z ukrytych może, ale głównych motywów przewodnich dzieła Balzaka.

Postępowa rola burżuazji kończy się. Balzak wyprzedził zmierzchni złudzeń radykalizmu mieszczańskiego, dostrzegł, jak mówi „Manifest Komunistyczny”, że „Burżuazja tam gdzie doszła do władzy, zburzyła wszystkie feudalne, patriarchalne, idylliczne stosunki. Pozostawiła bezsilność wielorakie węzły feudalne, które przywiązywały człowieka do jego „naturalnego zwierzętnika” i oie pozostawiła między ludźmi żadnego innego więzła, prócz nagiego interesu, prócz wyzutej z wszelkiego sentymentu „zapłaty gotówką”.

Honoré Balzac, syn pracowniczego ludu Francji, znalazł się jak później Lucjan Chardou w „Dwóch poetach”, jak Rastignac w „Ojcu Goriot” w samym sercu kapitalistycznej dżungli.

OBRAZ DŻUNGLI

Trzydziestokilkuletni Balzak, który był tylko genialny i pracowity, a nie potrafił być nieuczciwym, co nie pozwoliło mu, na szczęście, iść drogą przeciętnego bourgeois, zrujnowany przez wilcze prawa kapitalistycznej gospodarki, obciążony 70 tysiącami franków długu zaplanował swoje olbrzymie dzieło — „Komedię ludzką”. Cykl ten a raczej szereg cykli, miał objąć 143 twory i stać się olbrzymią artystyczną panoramą Francji pierwszej połowy XIX w. Pracując po 14—16 godzin na dobę, przerabiając i czyszcząc w nieskończoność swoje powieści, Balzak wykonał ponad dwie trzecie zamierzonej pracy — umarł pozostawiając 92 twory, z których większość stanowi i stanowić będzie źródło dumy narodu francuskiego, szczytowe osiągnięcia światowej literatury. Całość jest „wielką buchalterią kapitalizmu „kwitnącego”. Ze zamiast pomnika czynów bohaterów, wystawił swej epoce rachunek chciwości, zbrodni i rozpaczki to jest to oczywiście nie wina a zasługa Balzaka, który potrafił najistotniejsze cechy kapitalizmu uchwycić i na zawsze napieństwować.

W 93 tomach „Komedi ludzkiej” żyją i działają tysiące postaci, stanowiących artystyczne wcielenie kapitalistycznej Francji.

Nie ma chyba takiej zbrodni, na której bazyje kapitalizm, a której nie opisałby Balzak. Dowodzi on jasno: w społeczeństwie kapitalistycznym nikt uczciwą drogą majątku nie zrobił. Dotyczy to zarówno zbiegłych galerników jak parów Francji.

Wilczemu społeczeństwu kapitalizmu oprócz dwóch władców — Gobseca i Nucingena dał Balzak teoretyka — Vautrina i praktyka — Rastignaca. W jednym słynnym „kuszeniu” Vautrina z „Ojca Goriot” powiedział Balzak o kapitalistycznym społeczeństwie więcej aniżeli całą burżuazyjną socjologią, od Comte'a do współczesnych szkół amerykańskich.

Balzakowska analiza kapitalizmu nie ogranicza się do obserwacji oficjalnie uznanych pól bitew gospodarki towarowej, jak giełda,



Z wieku Nucingenów

Honoré Daumier

posiadłości ziemskie, czy kramiki z pachnidami. Balzak chcąc wykonać swe tytaniczne zamierzenia bada wszystkie dziedziny życia.

Uczucia przyjaźni, uczucia rodzinne, najwznioślejsza miłość i największe upodlenie — wszystko zostaje zbadane, przeanalizowane, ukazane nie od strony zewnętrznej efektu a przenicowane, wystawione podszewką na wierzch.

EKWIWALENT MIŁOŚCI

Literatura światowa poświęciła zagadnieniu miłości setki tysięcy stron. Problem miłości to sprawa, która porusza każdy prawie pisarz i każda epoka. Lecz jak różnie wyglądają te tak, wydawałoby się „absolutne” i „wieczne” problemy.

Wielka literatura Odrodzenia, która wystawiała rachunek krzywd epoki zmierzchniającejgo feudalizmu, podjęła problem miłości w trzech aspektach: odkłamania wyidealizowanego w eposie rycerskim obrazu kobiety, wyzwolenia instynktów ludzkich z pet feudalno-religijnego niewolnictwa, ukazania społecznego podłoża konfliktów miłosnych — problemu nierówności stanowych.

Kapitalizm zniósł znaczną część przesądów o nierówności ustroju feudalnego. Pieniądz stał się jedynym miernikiem wartości człowieka, wyznacznikiem jego pozycji społecznej i jego... uczuć.

Balzak z przenikliwością wielkiego artysty dostrzegł te cechy kapitalizmu. Nie ma u niego miłości, która by w ten czy inny sposób nie była uwarunkowana sytuacją finansową bohaterów. Pieniądz jest albo celem, do którego dąży się poprzez miłość, albo przeszkodą na drodze do miłości.

Rastignac w „Ojcu Goriot” zostaje kochankiem baronowej de Nucingen, kocha ją, a w każdym razie wydaje mu się, że kocha — ale ta miłość znajduje swój pieniężny ekwiwalent: Rastignac zdobywa pieniądze, i co za tym idzie „pozycję”. I przy tym Balzak nie przedstawia go wcale jako „utrzymankę” z premedytacji. Wprost przeciwnie, miłość tych dwojga ludzi nosi wszelkie pozory szczerości. Balzak ukazuje tylko kapitalistyczną ośnowę miłosnej tkaniny.

Miłość nie występuje u Balzaka poza swoim kapitalistycznym ekwiwalentem. Kochankowie Balzaka to ludzie, których uczucia można dla tych czy innych powodów przeliczyć na franki.

Trzeba powiedzieć, że pod tym względem Balzak łapał kapitalizm bardziej „in flagranti”, niż drugi wielki współtwórca mieszczańskiej powieści realistycznej — Stendhal. Dla stendhalowskiego Juliana Sorela zdobycie kobiety jest tylko sprawdzeniem własnej wartości. Miłość u Stendhala znajduje się na pograniczu feudalizmu i kapitalizmu. Miłość balzakowska to miłość epoki kapitalizmu.

ISTOTA WIELKOŚCI

Wielkość Balzaka przejawia się w opisie miernoty i w opisie geniuszu. Jest on jednakowo wierny rzeczywistości. Współ z Puszkinem, Stendhalem i Lermontowem podniósł on do godności tematu literackiego rzeczy, o jakich przed nim literatura nie mówiła w ogóle lub których nie nazywała po imieniu. W tym sensie ci czterej pisarze wprowadzili istotną treść życia do literatury. Jest to jedna z nieprzemijających ich wielkości.

Balzak uważał siebie za rojalistę i gorliwego katolika. Jednak dla każdego, kto choć trochę uważnie przeczytał parę jego powieści, jest jasne, że mundur obrońcy tronu religii pęka w szwach i rozlaty się na nim przy każdym niemal pociągnięciu piórem. Sam zresztą kościół miał i ma co do „katolickości” poważne zastrzeżenia. Widocznie Balzak był lepszym realistą niż katolikiem — znalazł się bowiem dość szybko w indeksie ksiąg zakazanych Watykanu, gdzie spotkał zresztą lepsze towarzystwo artystyczne aniżeli to, które go otaczało w Paryżu.

Balzak — katolik i Balzak — realista to dwie wrogie sobie postacie, pomiędzy którymi toczy się walka w dziedzinie twórczości literackiej. Zwycięża Balzak — realista, i jest to, jak pisze Engels, jedno z wielkich zwycięstw realizmu.

O doniosłości tego zwycięstwa można się przekonać między innymi, kiedy się czyta rozrzucone tu i ówdzie po całej „Komedi ludzkiej” bogoojęzyczne scenki i komentarze autorskie. Stanowią one rażący zgrzyt w harmonijnej i doskonałej całości. Na szczęście jest ich niewiele i nie mogą one zażywać na ocenie dzieła Balzaka.

Znana leninowska teza głosi, iż w każdym wielkim artyście znajduje swoje odbicie jakaś częśćka rewolucyjnej treści jego czasów. I Balzak „katolik i rojalista” jest rewolucjonistą, jednym z najbardziej rewolucyjnych pisarzy pierwszej połowy dziewiętnastego wieku.

Pierwszą cechą rewolucyjności Balzaka jest jego twórczość demaskująca kapitalizm „kwitnący”.

Burżuazja okresu Restauracji i monarchii lipcowej podsywała się pod miano klasy rewolucyjnej, walczącej o postęp.

Balzak ukazuje jej wsteczność, ukazuje proces bratania się burżuazji z jej niedawnym wrogiem — arystokracją. Balzak pokazuje, że każde zwycięstwo odniesione przez burżuazję nad arystokracją zbliża do siebie te dwie klasy, łącząc je w jedną wrogą postać. Balzak pokazuje, że rewolucyjna horda burżuazji to bańki mydlane pękające przy zetknięciu z rzeczywistością.

Burżuazja do dziś twierdzi, iż prądródem majątku i „pozycji” w świecie kapitalistycznym jest oszczędność, uczciwość i pracowitość. „Komedia ludzka” nie zostawia suchej nitki na tej moralistycznej powiastce. Balzak ukazuje bandycki charakter ekonomiki kapitalizmu.

Burżuazja do dziś pieje cłkliwe hymny na cześć mieszczańskiej rodziny, na cześć mieszczańskiej miłości i przyjaźni.

Balzak odsłonił kapitalistyczną podszewkę „świętych” uczuć i instytucji. Pokazał uprosztowanie mieszczańskiej rodziny, zależność uczucia od pieniądza.

Ale rewolucyjność Balzaka nie ogranicza się tylko do roli demaskatora kapitalizmu, roli, której znaczenie i dziś jest wciąż aktualne.

Balzak jest jednym z pierwszych pisarzy XIX wieku, którzy dokonali wielkiej rewolucji w literaturze. Pokazał on, iż literatura to nie kwestia romantycznej pozy i nadprzyrodzonego natchnienia, a głębokich studiów nad współczesnością i ciężkiej, w warunkach kapitalizmu — niewolniczej wprost, pracy.

O prawdę obrazu artystycznego, o rzetelny stosunek do pracy pisarskiej walczył Balzak z ofiarnością wielkiego bojownika rewolucji literackiej. Gniewem i satyrą smagał współczesnych sobie pięknoduchów literackich, ale jednocześnie wskazywał, że całe plejady tych pięknoduchów istnieją dzięki rabunkowej polityce kulturalnej kapitalizmu.

Balzak jest wielki, ponieważ jest rewolucjonistą, jest nim często wbrew własnej woli. Rewolucyjne umiowanie prawdy jest w nim silniejsze od politycznych przekonań i ono stanowi istotę jego wielkości.

BALZAK PRAWDZIWIY

Burżuazja nigdy nie potrafiła właściwie zrozumieć Balzaka, nie potrafiła znaleźć prawdziwych źródeł jego wielkości. Za życia, nawet wtedy, kiedy został już uznany przez oficjalną krytykę, nie doceniano go, nie zdawano sobie sprawy z tego, że książki jego są więcej niż poczytne, że posiadają wartości nieprzemijające. Później, wraz ze stopniowym upadkiem kultury kapitalizmu postać Balzaka w burżuazyjnym literaturoznawstwie uległa słabemu wykrzywieniu, uległa całkowitej niemności anatemie.

Prawdziwego Balzaka pokazał światu po raz pierwszy Engels. Ale Engels mógł tylko odsłonić prawdziwe oblicze artysty; na to, co stanowi treść wieczności pisarza — na rozumne, „światowe” czytelnika musiał Balzak czekać dłużej. Balzak prawdziwy, Balzak czytany i rozumiany przez miliony ludzi to osiągnięcie kultury socjalizmu.

Balzak popularniejszy jest w Związku Radzieckim aniżeli we Francji.

Duma i radość ludu francuskiego — Balzak, został po raz pierwszy naprawdę odkryty przez Engelsa, a żyje dziś przede wszystkim w kraju socjalizmu.

Honoré Balzac

KONTRAKT ŚLUBNY*)

Ten dzień był dla Pawła pierwszą uciążliwą długiej i nużącej wojny zwaną małżeństwem. Trzeba było ustalić siły obu stron, pozycję walczących i teren operacyjny. Aby stawić czoła walce, o której doniosłości nie miał pojęcia, Paweł miał za całą pomoc starego reagenta. Obaj mieli być zaskoczeni nieoczekiwanym wypadkiem, przyciśnięci przez nieprzyjaciela, który miał gotowy plan i zmuszeni decydować się, nie mając czasu do namysłu... Jak uwierzyć w przewrotność tam, gdzie wszystko wydaje się proste i naturalne? Co mógł Mathias, sam, przeciw pani Evangélisty, przeciw Solonetowi i przeciw Natalii, zwłaszcza gdy jego zakochany klient przeszedłby na stronę nieprzyjaciela z chwilą gdyby coś groziło jego szczęściu? Już Paweł brnął w komplementy, zwyczajne między zakochanymi, ale którym jego namiętność dawała olbrzymią wagę w oczach pani Evangélisty, pchającej go do tego, aby sobie przeciął odwrót.

Owi kondotierzy matrymonialni, którzy mieli biec się za swoich klientów i których siły były tak ważne w tym spotkaniu — dwaj rejenci — przedstawiali dawne i nowe obyczaje, dawny i nowy notariat...

...Po obiedzie dwaj pełnomocnicy zostawili kochanków z matką, i udali się do pokoju przeznaczonych na tę naradę. Rozegrała się wtedy podwójna scena: w salonie przy kominku, scena miłosna, w której życie zdawało się uśmiechnięte i radosne; obok scena poważna i ponura, w której obnażony interes zawczasu grał ową rolę, jaką odgrywa pod kwiecistymi pozorami życia.

— Drogi mistrzu, rzekł Solonet do Mathiasa, akt zostanie w pańskiej kancelarii, wiem, co jestem winien starszemu koledze.

Mathias skłonił się poważnie.

— Ale, ciągnął Solonet, rozwijając projekt zbytniego aktu, który kazał naszkicować, — ponieważ my jesteśmy jako panna stroną uciśnioną — ułożyłem kontrakt, aby panu oszczędzić trudu. Wychodzimy za mąż na zasadzie praw ojczystych, ergo wspólności majątkowej; dziedziczenie całego majątku przez współmałżonka pozostałego przy życiu na wypadek zgonu bez spadkobiercy, w innym wypadku użytkowanie jednej czwartej majątku, pełna zaś własność drugiej czwartej; suma wniesiona do wspólnoty stanowić będzie jedną czwartą właściwego wkładu, pozostałym zaś przy życiu małżonkom przypadną ruchomości bez obowiązku inwentarza. Wszystko to jest jasne jak dzień.

— Ta, ta, ta, rzekł Mathias, ja nie załatwiam interesu tak jak się śpiewa aryjkę. Jaki jest wasz stan posiadania?

— A wasz? — rzekł Solonet.

— Naszym wianem są dobra Lanstrac, dające dwadzieścia trzy tysiące funtów renty w gotówkę, nie licząc produktów. Item, folwarki Grassol i Guadet, wartę po trzy tysiące sześćset funtów renty. Item, winnica Belle-Rose, przynosząca rokrocznie szesnaście tysięcy funtów; łącznie czterdzieści sześć tysięcy dwieście franków renty. Item, pałac rodzinny w Bordeaux, opodatkowany w dziewięćset frankach. Item, piękny dom z ogrodem w Paryżu, opodatkowany w tysiącu pięćset frankach. Te posiadłości, których tytuły własności znajdują się u mnie, pochodzą ze spadku po rodzicach, z wyjątkiem domu w Paryżu, który nabyliśmy sami. Musimy również policzyć urządzenie naszych dwóch domów oraz zamku w Lanstrac, oszacowane na czterysta pięćdziesiąt tysięcy. Oto stół, obrus i pierwsze danie. Co dajecie na drugie danie i na deser?

— Nasz majątek — rzekł Solonet.

— Wyszczególnij go, drogi kolego — rzekł Mathias. Co mi przyniesie? Gdzie jest inwentarz po śmierci pana Evangélisty? Pokażcie mi likwidację, lokatę kapitałów. Gdzie są wasze kapitały, o ile jest kapitał? Gdzie posiadłości, o ile są posiadłości? Słowem, pokażcie nam rachunek z opieki i powiedzcie co wam daje lub zapewnia matka.

— Czy hrabia de Manerville kocha pannę Evangélistę?

— Chce ją pojąć, jeśli wszystkie okoliczności będą nam odpowiadały — rzekł stary rejent. — Nie jestem dziecko, chodzi tu o nasze interesy, nie o uczucia.

— Sprawa weźmie w łeb, jeśli nie okażecie się wspaniałomyślni. Oto czemu — rzekł Solonet. — Nie zrobiliśmy inwentarza po śmierci męża, byliśmy — Hiszpanka, kreolka i nie znaleźliśmy praw francuskich. Zresztą byliśmy pogrążeni w zbyt wielkiej boleści, aby myśleć o nędznych formalnościach, które są wszystkim dla ludzi bez serca. Wiadomo, że nieboszczyk ubóstwiał nas i że opłakiwaliśmy go srodze. Jeśli mamy likwidację, poprzedzoną przez inwentaryzację dokonaną w duchu powszechnej opinii, podlegającej za to opiekunowi, który zmusił nas do ujawnienia stanu rzeczy i do przyniesienia córce określonego majątku, w chwili gdy koniecznym było wycofać z Londynu angielską rentę od olbrzymiego kapitału, który chcieliśmy ulokować w Paryżu, gdzie podwojono nam procenty.

— Nie opowiadacie nam głupstw. Istnieją sposoby sprawdzenia. Jaki wpłaciłście podatek spadkowy? Cyfra wystarczy nam do ustalenia. Idźmy prosto do rzeczy. Powiedzcie szczerze, coście wzięli i co wam zostało. Ano, jeżeli jesteście bardzo zakochani, zobaczmy.

— Jeżeli się chcecie żenić z nami dla pieniędzy, możecie zaraz pakować manatki. Mam prawo przesyłać do miliona. Ale został na szęj matce tylko ten pałac, meble i czterysta tysięcy, ulokowane około r. 1817 na 5 od sta, dające czterdzieści tysięcy franków dochodu.

— W jakim sposób prowadzicie dom pochłaniający sto tysięcy franków rocznie? — wykrzyknął Mathias przerażony.

— Córka kosztowała nas złote góry. Zresztą, lubimy wydatki. Koniec końców wasze jere miady nie wrócą nam ani szelaga.

— Mając pięćdziesiąt tysięcy franków renty panny Natalii, mogliście ją wychować suto, nie rujnując się. Ale, skorcie jedli z takim apetytem będąc panną, będziecie żreć wyszedzyszy za mąż.

— Zostawcie nas tedy w spokoju — rzekł Solonet; — najpiękniejsza dziewczyna w świecie musi zjadać więcej niż ma.

— Pójdę powiedzieć słówko memu klientowi — odparł stary rejent.

— Idź, idź, stary Kasandrze, idź, powiedz klientowi, że nie mamy ani szelaga — myślał Solonet...

... — Natalia jest tak piękna — szepnął (Paweł) teściowej — że pojmuje szal, który każe nam opłacić rozkosz śmiercią.

Pani Evangélista odpowiedziała potrząsając głową: — Fraszery! Mąż nie opowiadał mi takich historii; ale widać mnie bez majątku i przez trzynastę lat nie sprawił mi przykrości.

— Czy to lekcja? — rzekł Paweł śmiejąc się.

— Wiesz, jak cię kocham, drogie dziecko! — rzekła ściskając mu rękę. — Zresztą, czyż nie trzeba bardzo cię kochać, aby ci dać moją Natę?

— Dać mnie, dać mnie? — rzekła dziewczyna śmiejąc się i poruszając wachlarzem z piór indyjskich ptaków. — Co wy tam szepciecie?

— Mówiłem — odrzekł Paweł — jak bardzo pania kocham, skoro formy zabraniają mi wyrazić pani moich pragnień.

— Czemu?

— Lękam się siebie.

Pierre Daix

BALZAK DZISIAJ*)

„Autor tego olbrzymiego dzieła, czy tego chce, czy nie chce, należy do silnej rasy rewolucyjnej”.

Victor Hugo „Mowa na pogrzebie H. de Balzaka”.

W

roku balzakowskim przypada 150 rocznica urodzin (20 maja 1949 r.) i 100 rocznica śmierci (19 sierpnia 1950 r.) pisarza. Lata ukraińskiej agonii Balzaka zbiegają się z agonią re-

wolucji, okrutne i nieubłagane lata upadku, dogorywania pisarza w pustynnej Wierchowni. Grał o zabezpieczenie, o niezależność finansową. Potem ślub z panią Hańską i straszny powrót przez Polskę i Niemcy, dyszące jeszcze w ostatnich drganiach wiosny wolności, która kończyła się krwawym latem zwolenników porządku. Przybył wreszcie do Francji, w której prawo 31 maja wyłączało proletariatu z udziału we władzy politycznej. Przybył do Francji, w której „trzecia siła” po dokonaniu burżuazyjnego zamachu stanu oddała się ze związanymi rękami i nogami Ludwikowi Napoleonowi. Oddała się dla lepszej obrony własności — na nieszczęście narodu.

Rok 1850 jest kresem marzeń. O czymże można marzyć bez wstydu, bez ucieczki, bez marzenia dla samego marzenia. Tu jest kres ambicji dwóch pokoleń myślicieli, wierzących, że wystarczy ukazać ideał, aby ucieleśnić się on w burżuazji, tej burżuazji, która marzyła tylko o zubożeniu się i pochwyceniu władzy. Zostały zrucone kości, które przekreśliły na zawsze utopijne koncepcje. Potwierdza to 18 brumaire’a Ludwika Napoleona. W Londynie Karol Marks kończy pisać „Walkę klas we Francji”, pierwszą ilu-

*) Fragmenty artykułu, zamieszczonego w organie marksistów francuskich „La Nouvelle Critique”, pióra czołowego postępowego krytyka literackiego Francji P. Daixa, ustalają podstawy stosunku francuskiego obozu postępu do puścizny balzakowskiej.

Fryderyk Engels

O BALZAKU

Balzak, którego uważam za doskonałego mistrza realizmu niż wszyscy pisarze pokroju Zola w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, stworzył w „Komedii ludzkiej” wspaniałą, realistyczną historię francuskiego społeczeństwa. Zobrazował on w sposób kronikarski, rok po roku od 1816 do 1848, wzmagające się ataki krzepnącej burżuazji przeciwko arystokracji, która, odrodzona po roku 1815, podnosiła jak najwyższe sztandar „de vieille politesse française” (starego francuskiego stylu życia). Balzak ukazał, w jaki sposób ostatnie niedobitki wzorowego dlań społeczeństwa uległy naporowi ordynarnych, bogatych dorobkiewiczów lub też zostały przez nich skorumpowane; jak wielka dama, dla której zdrada małżeńska była tylko środkiem potwierdzenia własnej osobowości, odpowiadającym w pełni sposobowi, w jaki rozporządzano nią w małżeństwie, ustąpiła miejsca mieszczo wychodzącej za mąż dla pieniędzy lub strojów. Wokół tego centralnego obrazu skoncentrował Balzak pełną historię społeczeństwa francuskiego, w której nawet w odniesieniu do szczegółowych zagadnień ekonomicznych... nauczyłem się więcej niż ze wszystkich dzieł historyków, ekonomistów i statystyków zawodo-

— Och, jest pan za sprytny, aby nie umieć dobrze oprawić klejnotów pochlebstwa. Chce pan, abym powiedziała, co myślę? A więc, wydaje mi się pan zbyt inteligentny, bardziej niżby przystało zakochanemu. Być kwiatem młodzieży i posiadać pańską główkę — rzekła spuszczać oczy, to za wiele atutów i powinno się wybierać. Ja też się boję!

— Czego?

— Nie mówmy tak. Nie uważasz mamę, że ta rozmowa jest niebezpieczna, póki kontrakt nie będzie podpisany?

— Za chwilę będzie — rzekł Paweł.

— Chciałabym wiedzieć, co tam sobie mówią Achilles z Nestorem — rzekła Natalia wskazując gestem dziecinnej ciekawości drzwi saloniku.

— Mówią o naszych dzieciach, o naszej śmierci i tym podobnych głupstwach; liczą nasze talary, aby nam powiedzieć, czy zawsze będziemy mieli pięć koni w stajni. Zajmują się też dotacjami, ale ja ich uprzedziłem.

— Jakto? — rzekła Natalia.

— Czyż nie oddałem się już cały? — rzekł spoglądając na młodą dziewczynę, której piękność zdwoiła się, kiedy przyjemność spowodowana tą odpowiedzią ubarwiła jej twarz.

... — Drogie dziecko — rzekła pani Evangélista — czy wy moglibyście zostać w Bordeaux przez pierwsze dni po ślubie? Jeśli macie odwagę zetknąć się ze światem, który was zna, śledzi, kępuje, zgoda! Ale, jeśli czujecie obojętność owa wstydliwą uczu, która ścisła duszę i nie da się wyrazić, pojedźmy do Paryża, gdzie życie młodego stadła gubi się w wirze stolicy. Tam jedynie możecie żyć jak para kochanków, nie obawiając się śmieśności.

— Masz rację, mamę, nie myślałem o tym. Ale zaledwie będę miał czas przygotować dom. Napiszę dziś jeszcze do mego przyjaciela de Marsaya, jedynego, na którego mogę liczyć, że popędzi robotników.



Antagonizm klas
współczesny rysunek satyryczny

W chwili, gdy, podobny młodym ludziom nawykłym zaspakając swe zachcenia bez poprzedniej rachuby, Paweł brnął niebezpiecznie w kosztą pobytu w Paryżu, stary Mathias wszedł do salonu i dał znak swemu klientowi, że chce z nim pomówić.

— Co takiego, drogi panie? — rzekł Paweł idąc za rejentem ku oknu.

— Panie hrabio — rzekł pocziwiec — nie ma ani grosza posagu. Moja rada jest, aby odłożyć konferencję do innego dnia, iżby pan mógł się należycie zastanowić.

ty zanotował Engels, to nie tylko rezultat sprzeczności historycznych epok: realizm „Komedii ludzkiej”. Tam jeszcze raz możemy stwierdzić, w jaki sposób układ polityczny warunkuje w pewnym momencie rozwiązanie zagadnień kulturalnych. Sądzę, że taka właśnie krytyka pozwolił analizować warunki, w jakich odbywa się przekazywanie nam dzieła Balzaka. Jest ona niezbędnie potrzebna w epoce takiej jak nasza, gdzie te same zadania, które skierowały Merimée’go i Stendhala do kontrbandy politycznej, a Balzaka do legitymizmu, doprowadziły artystów i pisarzy do opowiedzenia się po stronie komunizmu, do realizowania związku płodnego i koniecznego, związku postępu ich twórczości z postępem historii. Jest o czym pomyśleć, jeśli chodzi o trudność w podjęciu spadku przeszłości. Oto spadek, którego musimy się wyprzeć, by go otrzymać żywym. Zdaniem wyprzedził nas, pisząc: „Zaprzeczenie zawiera w sobie dziedziczenie. Zawiera dziedziczenie, to znaczy przystosowanie, zjednoczenie w wyższej syntezie wszystkich myśli postępu”.

Oto w takim kontekście należy umieścić twórczość Balzaka, tak by była wstępem, etapem decydującym w ewolucji, o której dziś wiemy, że doprowadziła do realizmu socjalistycznego.

Praktyczna prawda doświadczenia Balzaka wskazuje, że powieść realistyczna jest jednym ze środków poznania świata; że jej prawa są prawami świata, jej logika — logiką rzeczywistości; że estetyka realistyczna jest jedynie szuszną.

Ale droga, która wiodła od romantyzmu do realizmu socjalistycznego wypisała swój szlak w historii walkami politycznymi proletariatu. Klasa roku 1848 wprowadziła rozdźwięk nie do pogodzenia między dwoma elementami przeciwstawnymi, których „Komedii ludzka” jest nieświadomą syntezą. Krytyka świata przeżyła nadziei, marzenie przeżyło rzeczywistości. Rozdarte sumienia, zdezorientowane umysły intelektualistów francuskich między jedną a drugą klasą proletariatu w jego walce o wolność nie potrafiła już uchwycić „przyczyny postępu w społeczeństwie”, a rzeczywistość, konkret zagubił się w ich poszukiwaniach. Dramat zmienia się w tragedię, aż do dnia, w którym, jak błyskawica Komuny dla Courbety, burza ogromna 1917 roku wstrząsnęła światem i pokazała najlepszym spośród myślicieli francuskich, że w momencie zrealizowania nadziei ludzkości przez proletariatu poszukiwanie rzeczywistości wymaga drogi odwrotnej niż ta, którą szedł Balzak, pokazuje, że w polityce szukać należy rozwiązania niepokonalnych sprzeczności estetyki.

Realizm nie jest i nie może być owocem nieświadomości, ale przeciwnie, musi być wynikiem pełnej świadomości politycznej. Realizm socjalistyczny jest to przede wszystkim koncepcja świata, która opiera się na rzeczywistym postępie historii. Jest to walcząca aktywność polityczna. Trzeba, by artysta brał udział w prawdziwej walce ludzi o zmianę świata po to, aby mógł wyrazić prawdę świata. A dziś kłamstwem politycznemu odpowiada upadek, rozkład estetyki. Rzeczywistość jest jedna, nie można zaprzeczyć jej w życiu, a wyrazić w sztuce. Nie można uchwycić jej w sztuce, jeśli się na nią nie działa, a to osiągnąć można tylko przez walkę u boku klasy robotniczej.

Być balzakistą dziś — to zaprzeczać Balzakowi, to walczyć o realizm socjalistyczny.

tum. Jerzy Działak

*) Wyjątek z mającego się wkrótce ukazać nakładem „Książki i Wiedzy” wznowienia powieści Balzaka zatytułowanej „Kontrakt ślubny”.

Anna Kamińska

„REWOLUCJA OŚWIATY” W GALICJI

Jeszcze za redaktorstwa Czesława Pie-
niażka w roku 1875 propagował
„Wieniec” wśród chłopów swoisty
patriotyzm gminny. Nie wyrwać się
zbyt daleko, zaczynać od działania
na terenie gminy, której od dawna
istniejącego samorządu nie umiemy wyko-
rzystać, a nie od sejmu, gdzie śmiało zastąpią
nas inni.

Nowa gmina, gmina wzorowa winna posia-
dać nowe społeczne instytucje, bez których
dawna obywatelstwo się dobrze. Są to: szkoła,
spichlerz gminny, kasa zaliczkowa i gazeta.
Gazeta występuje tu więc wyraźnie jako in-
stytucja spełniająca funkcję oświatową - oby-
watelską obok instytucji gospodarczych typu,
jak widzimy, raczej ratunkowego niż postę-
powego. Ratunkowego — w okresie głębokiego
kryzysu ekonomicznego Galicji i jej rol-
nictwa.

Istotnie po przejęciu redakcji „Wienca”
i „Pszczółki” przez ks. Stanisława Stojalowskiego — gazeta staje się po raz pierwszy
w historii wsi galicyjskiej czynnikiem orga-
nizacji kultury, a nie tylko narzędziem ura-
biania opinii wsi.

Wzorem działania w tym kierunku staje
się dla ks. Stojalowskiego ożywiony wcześ-
niej ruch kulturalno-polityczny wśród chło-
pów w W. Ks. Poznańskim, gdzie działacze
inteligencji wykorzystując jako trybuny 6
istniejących pism ludowych zwołują lud na
wiece polityczne, organizują i uświadamiają
w sprawach narodowych. „Wieniec” notuje
te wiece zawsze z aplauzem i podaje dokład-
ne z nich sprawozdania.

Tak np. 15 października 1875 roku odbył
się wiec ludowy w Trzemesznie, gdzie p.
Bentkowski z Czarnotula mówił o prawach
języka polskiego w szkole, sądownictwie i w
urzędach. Wiec ten powziął wniosek o roz-
krzewianiu wśród ludu pism polskich. Poję-
cie wiecu odrastać musiało opinie społecznej
a może i władze konstytucyjnej, parlamen-
tarnego kraju, skoro ks. Stojalowski uważa
za konieczne wyjaśnić jego istotę i pocho-
dzenie. „Wiecie to staropolski sposób naradza-
nia się nad dobrem pospółtym”. Wiece gali-
cyjskie z powodu niedożyłkości ludu służą
raczej pouczaniu go w sprawach społecznych
i gospodarczych i jako takie są najlepszym
środkiem społecznej agitacji. „Lud słucha
tych mów i nauk — pisze ks. Stojalowski —
tak samo, jak słucha w kościele słowa Boże-
go, a w szkole nauki, to jest bez rozpraw
i dyskusji — tak, że na wiecu nie ma rozpra-
wy, ale jedni pouczają, a drudzy słu-
chają”.

Toteż na wzór wieców wielkopolskich re-
dakcja „Wienca” i „Pszczółki” zwołała wiec
chłopski w Krakowie w roku 1878. Na wiecu
tym zawiązano Towarzystwo Oświaty Ludo-
wej. Towarzystwa podobne powstawały już
w Galicji i upadały albo wskutek odsunięcia
się protektorów, albo zbyt małej liczby człon-
ków i bierności masy chłopiejskiej.

W roku 1867 powstały w Krakowie dwa to-
warzystwa oświatowe — jedno hr. Adama
Potockiego, drugie ks. Adama Sapiehy. Upa-
dły one po 2 latach. W Krakowie, Tarnowie,
Łańcucie i w paru innych miejscach istniało
Towarzystwo Ludowe „Mrówki” — bardzo
słabe. Działalo też w Galicji od roku 1875
Towarzystwo im. Michała Kackowskiego —
obejmowało ono jednak tylko lud ruski.

Redakcja „Wienca” i „Pszczółki” przyświeca-
ły w tej inicjatywie organizowania kultury
wsi cele ściśle polityczne. Celem Towarzy-
stwa miało być „dobro ludu” i idące za nim
„dobro ojczyzny”, a to przez propagowanie
ducha „zgody, jedności i miłości społecznej”
czyli „połączenie wszystkich stanów”. Ponie-
waż zaś założyciele Towarzystwa sądzili, że
taka jedność społeczna możliwa jest do osią-
gnięcia tylko na gruncie jednego wyznania —
zastrzegli w statucie, że członkami Towarzy-
stwa mogą być tylko katolicy. Później w tru-
ku prac Towarzystwa zdarzało się tu i ów-
dzie, że do Towarzystwa chcieli się wciągnąć
Żydzi, inteligencja żydowska; koła zwracały
się wówczas do redakcji z zapytaniem, jak
w takim razie postępować. Redakcja przy-
znawała jednak tym Żydom tylko prawa
członków wspierających materialnie, ale nie
czynnych. Zastrzeżenie o obowiązkowym dla
członków wyznaniu katolickim skierowane
było również przeciwko możliwej infiltracji
chłopów ukraińskich wyznania prawosław-
nego. Zwyczajnymi członkami Towarzystwa
mieli być chłopci i mieszcianie, honorowymi
— wspierający Towarzystwo panowie.

Prace wewnętrzne Towarzystwa Oświaty
Ludowej miały początkowo charakter wy-
łącznie oświatowo-moralny. Działalo ono po-
przez czytelnice organizowane w gminach. § 6
ustawy Towarzystwa zalecał i nakazywał:
„co niedzielę i święta zgromadzać się na
wspólne czytanie w szkole lub też w do-
mach”. Wspólne czytanie miało być czyta-
niem przede wszystkim gazety, a więc „Wien-
ca” i „Pszczółki”, poza tym książek histo-
rycznych lub religijnych, jeżeli takie są człon-
kom koła dostępne, następnie zalecano gry
historyczne i geograficzne. Książek do domu
nie pożyczają — radzi redakcja — żeby się nie
niszczyły. Tak więc powstaje w szeregu wsi
instytucja wspierająca się o gazetę, działa-
jąca i pozostająca pod jej inspiracją oświao-
wą, kulturalną, polityczną. Ta nasila się
zwłaszcza w okresach wyborów do władz
gminnych i sejmu — kiedy pismo po prostu
przedstawia kandydatów i zaleca: głosuj na
tego a nie na tamtego... głosuj na księdza...
głosuj na pana... głosuj na takiego chłopca,
który...

W zakres roboty umoralniania ludu wcho-
dził nie mniej polityczny w założeniu para-
graf statutu Towarzystwa nakazujący człon-
kom unikania karczm i pijalstwa. Chłopa
skłania do karczmy 1) rozrywka i towarzy-
stwo, 2) uprzejmość, poufalość, uniożoność
arendarza, oddziałująca dodatnio na poczu-
cie godności chłopca. Nawiasem należy dodać,
że propinację zniesiono w Galicji dopiero
w roku 1890. Hasło: unikać karczmy — na
razie ma moralne, potem coraz bardziej wi-
doczne gospodarczo-polityczne znaczenie, gdy
do ideologii Towarzystwa przedostaje się
tendencja tworzenia na wsi polskiego drob-
nomieszczaństwa przede wszystkim ze zubo-
żonych chłopów.

W roku 1879 „Wieniec” i „Pszczółka” liczy
sobie 1500 prenumeratorów. Chłopi w tej
liczbie stanowią tylko część. Oczywiście nie
wszyscy oni stają się członkami Towarzystwa,
nie wszyscy podlegają błogosławieństwu,
jakie spadają na tych, „którzy do naszej re-
wolucji oświaty należą”. Aby powstała czy-
telnia lub koło Towarzystwa Oświaty Ludo-
wej, trzeba było zorganizować pracę i pokie-
rować w oparciu o inspirację gazety. Takimi
działaczami rzadko jeszcze stawali się chłopci,
bardzo rzadko także, ku ubolewaniu redakcji
— panowie, najczęściej zaś księża, którzy
także wybierani byli prezesami kół.

W ciągu roku 1879 zawiązało się 24 kółka
Towarzystwa Oświaty Ludowej w Galicji;
do marca 80 r., w którym redakcja przed-
stawiła sprawozdanie, kół powstało 31. Liczba
członków łączna wynosi wówczas 494, w tym
3 honorowi — a więc 3 osoby nie będące chło-
pami.

Budżet Towarzystwa przedstawia się dość
załośnie. Według wyciągu rachunkowego po-
danego w numerze z roku 1880 — Towarzy-
stwo uzyskało ze składek członków zwyczaj-
nych — 166 zł 35 ct., ze składek członków ho-
norowych 40 zł. — razem przychód ogólny To-
warzystwa wyniósł 206 zł 35 ct. Pieniądże te
zużyte zostały prawie w całości na cele orga-
nizacyjne — druk projektu statutu, kart
wpisowych, książeczek członkowskich, na
koszta podróży delegatów na zebrań i inne
koszty administracyjne. W kasie Towarzy-
stwa pozostało 4 zł 15 ct. Przy tym 260 człon-
ków, a więc większość, zalegała z opłatami.
W tych zalegających ze składkami wolno
oczywiście widzieć znaczną większość „mart-
wych”, cyfrowych tylko członków Towarzy-
stwa.

Maciej Szarek — wierszopis i pamiętnikarz
chłopski tak w nr 1 „Wienca” wita rok 1879:

„A witajże roku nowy — dajże nam Boże
zdrowie,
A zacznijmy wspólną pracę, chłopci
i panowie!
Nie zważajmy na stan własny jaki
posiadamy,
Czy to chłopiec, szlachcic, mieszczan,
wszyscy się zbratamy.
Przypatrzmy się braciom naszym pod
pruskim zaborem,
Gdy tam mieszczech, szlachcic, chłopiec
idą jednym torem,
Wstyd to dla nas, bracia mili, że tak nie
żyjemy,
Z tej wolności, z której mamy korzystać
nie chcemy...”

„Z tej wolności” czyli samorządu i konsty-
tucyjnych swobód chłopci korzystali nie chcie-
li i nie mogli. Nagle i bez przygotowania ca-
łą ciemną masą przeniesieni zostali ze stanu
poddanstwa w stan konstytucyjnej wolności,
a dla siebie nędzy i nowych zależności gos-
podarczych.

Nic też dziwnego, że tak mała liczba chło-
pów zgłosiła się do Towarzystwa Oświaty Lu-
dowej, które miało przecież ambicję stać się
organizacją masową chłopów, uzupełnić tę
ogromną lukę oświatową, jakiej już szkoła
zasypać nie mogła, a na przyszłość zasypywa-
ła. tylko bardzo możność i powoli, ciemność
masy chłopiejskiej obywatelskiej. Tak więc To-
warzystwo Oświaty Ludowej miało w istocie
pełnić funkcje instytucji oświaty dorosłych.

Mizerne wyniki akcji moralno-oświatowej
kazały inicjatorom i organizatorom ruchu,
a więc przede wszystkim redakcji „Wienca” i
„Pszczółki” przesunąć prace Towarzystwa na
tory bardziej praktyczne. Tak więc w rok po
utworzeniu Towarzystwa Oświaty Ludowej
redakcja powołała nowy wiec w Krakowie
połączony z pielgrzymką pobożną i narodową
do grobu św. Stanisława. Na wiecu tym, bę-
dącym zjazdem chłopów — prenumeratorów
gazety i członków Towarzystwa pozostające-
go w rozporządzeniu redakcji gazety — zało-
żono nową instytucję kulturalno-gospodarczą
— kółka rolnicze. Kółka rolnicze to „najlep-
sze i najpewniejsze lekarstwo na biedy wło-
ściańskie” — mówił ks. Stojalowski. Połącze-
nie kół Towarzystwa Oświaty Ludowej i kół
rolniczych przekształciło, upraktyniło
charakter samego Towarzystwa. W roku 1880
dyrekcja Towarzystwa działająca faktycznie
w redakcji „Wienca” i „Pszczółki” wystąpiła
z projektem zmiany statutu i nazwy To-
warzystwa na Towarzystwo Ludowe Oświaty
i Pracy. Według nowego statutu każde koło
Towarzystwa Oświaty miało być oddziałem
razem kołem rolniczym.

7 marca 1880 roku odbyło się walne zebranie
delegatów Towarzystwa Oświaty Ludo-
wej, na którym omówiono projekt i nowy
etap pracy i rozwoju organizacji. Ks. Stojal-
owski chciał widzieć w kółach Towarzystwa
placówki gospodarcze, będące na wsi czoł-
-

kami postępu technicznego i wiedzy rolniczej
— będące jednocześnie czynnikiem usamo-
dzielnienia gospodarczego wsi — przez co ro-
zumiał wydobycie się spod wpływu gospo-
darczego Żydów. Zdarzył się gdzieś wypadek,
że Żyd kupił młocarnię i dorobił się majątku
kupując chłopom maszynę za opłatą
dzienną 1 zł. Żyd ten według redaktora
„Wienca” wskazał kołom rolniczym kierunek
zysku i zdobycia wpływu na wieś poprzez
wzbogacenie się członków koła. Ten sam cel
— otworzenie możliwości indywidualnego wzboga-
cenia się dla zbiedniałych chłopów — przy-
świeca propagowaniu sklepikarstwa na wsi.
Chodzi tu zresztą nie tylko o spółdzielnię,
a raczej spółki chłopskie, ale także o prywatną
akcję gospodarczą. Z czasem Towarzystwo
ofiarowuje kredyt tym chłopom, którzy chcą
otworzyć sklepik na wsi, a zwrócić się do To-
warzystwa przedstawiając świadectwo uczci-
wości od swego proboszcza. Sklepiki takie nie
naruszają przecież zasad systemu gospodar-
czego wymiany na wsi zastępują kapitał ży-
dowski kapitałami chłopskimi.

Rok niemal toczyły się starania około za-
twierdzenia w Radzie Państwa statutu nowo-
wego Towarzystwa. Cele i środki działania
Towarzystwa Ludowego Oświaty i Pracy wed-
ług zatwierdzonego statutu przedstawiały
się o wiele konkretniej niż Towarzystwa
Oświaty. „Wieniec” drukował je in extenso.

§ 2. Cel. Szerzenie oświaty między ludem
polskim i ruskim w duchu katolicko-narodo-
wym i praca nad podniesieniem rolnictwa
i drobnego przemysłu we wszystkich jego ga-
łęziach.

§ 3. Środki. Szerzenie nauki czytania i pi-
sania dla dorosłych, wydawanie pism i dzieł
ludowych i gospodarczych, rozprzedawanie
nie książek nakładem Towarzystwa wyda-
nych po najniższych cenach, ułatwienie zdo-
bycia maszyn rolniczych i narzędzi gospodar-
czych, wspieranie przemysłu domowego, od-
czyty i ustne pouczanie ludu na Walnych
Zgromadzeniach, zjazdach i wiecach, odwie-
dzanie gospodarstw wzorowych, zakładanie
bibliotek i czytelników po wsiach i miasteczkach.

W roku 1882 powstaje nowe towarzystwo
oświatowe w Galicji z siedzibą we Lwowie,
obdarzone autorytetem inicjatora i kierowni-
ka, J. I. Kraszewskiego — Macierzy Polska.
Głównym jej celem jest wydawanie książek
dla ludu wiejskiego i miejskiego. W Radzie
Macierzy zasiadają: członek Sejmu Galicyj-
skiego, członek Koła Polskiego w Sejmie Pru-
skim, jeden obywatel z zaboru rosyjskiego
i kapłan katolicki. Powaga i szeroki zasięg
oddziaływania Macierzy łączącej w swej
Radzie przedstawicieli wszystkich zaborów
osłabia znowu kulturalną dziedzinę prac To-
warzystwa Oświaty i Pracy. „Wieniec” za-
czyna wreszcie narzekać na to, że powstają
w Galicji nowe towarzystwa oświatowe i du-
blują robotę redakcji pod pozorem, że kie-
runek Towarzystwa Oświaty i Pracy wydaje
im się zbyt pobożny. Rozbieżności zdań co do
interesów i dobra ludu wydają się redakcji
nieistotne.

„Potrzeba zdaniem naszym jednej tylko
rzeczy — pisze redakcja. — Potrzeba pamię-
tać na to, że jeżeli kraj nasz jest krajem rol-
niczym, to lud nasz jest też ludem rolniczym”.
Toteż cały nacisk prac Towarzystwa przeno-
si się na stronę gospodarczą. Celem staje się
podniesienie rolnictwa z kryzysu ekonomicz-
nego i wychowanie członków Towarzystwa
„na dobrych gospodarzy”.

Jako dodatek do „Wienca” i „Pszczółki” za-
czyna wychodzić miesięcznik fachowy „Go-
spodarz i Rękodzielnik”, a Towarzystwo za-
czyna się nazywać po prostu Towarzystwem
Kółek Rolniczych.

„Wieniec” chlubi się z początkiem 1882 ro-
ku, że istnieje w Galicji już prawie 20 kółek
Towarzystwa. Jak organizują się one i dzia-
łają, przedstawia nam jedno z ciekawszych
drukowanych sprawozdań — sprawozdanie
kółka w Zubrzy. Przytaczam je w całości dla
pewnych charakterystycznych szczegółów:

„Sprawozdanie kółka w Zubrzy do Dy-
rekcji:

1. Kółko zostało zawiązane na dniu 9 stycz-
nia 1881 r. i liczy obecnie członków 18.

2. Zarząd. Przewodniczącym Antoni Ma-
ślanka, zastępcami: Marcin Kasprzowicz i
Marcin Smolnicki; skarbnikiem: Jakób Pelc.

3. Fundusz. Wkładki i wstępne złożono
wszystkie, mianowicie: (za członków 13, bo
tytu do końca roku 1881 kółko liczyło)

wstępnego 1 z 40 ct.	
wkładek 13 zł —	
Razem 14 zł 40 ct.	
Wydano 4 zł 78 ct.	
Pozostaje w kasie 9 zł 62 ct.	

Kwota ta złożona w galicyjskiej kasie oszczę-
dności do dalszego rozporządzenia.

4. Posiedzenie w roku zesłany odbyło kółko
tylko 6. Natomiast regularnie w święta i nie-
dziele po niesporach schodzą się członkowie
do szkoły na czytanie, gdzie przewodniczący
odczytuje na głos książki, gazety itp. W tym
czasie czytano „O niebie i ziemi” Anczyca —
O rzeczach publicznych, listy Horoszkiewi-
cza, Wieszcz Supińskiego, z dzieł Forstera
2 opowiadań: O Kusturze Antonim. — Opo-
wiadania Goczałkowskiej, Wieszczory pod Lipą
i wiele, tp. także „Wieniec” i „Pszczółkę”
i „Gospodarza” — Gazetę Wlejską” i co się da-
ło. Także był jeden odczyt o „nawozie” przez

przewodniczącego Maślankę. O gospodarstwie
zaś przy każdej najmniejszej sposobności sta-
ra się przewodniczący o rozwinięcie dyskusji,
co się często i dobrze udaje.

Także odbyło kółko wycieczkę do Dublan-
— zwiedziło wystawę „Przemysłu domowego
i robót kobiecych”, „Muzeum Dzieduszy-
kich”. Także było kółko w teatrze na 2 przed-
stawieniach: „Kościuszkę pod Racławicami”
i „Krakowiacy i Górale”.

5. Biblioteka i czytelnia urządzona w szko-
le miejscowej liczy 37 dzieł rozmaitej treści,
przeważnie gospodarskiej. Dziełka otrzymało
kółko jako dar z Rady oddziału lwowskiego
Towarzystwa Gospodarczego lub od innych
osób.

6. Gazety opłaca się następująco: „Wien-
ciec” i „Pszczółkę” i „Gospodarza-Rękodzielnika”.
Zaś Gazetę Wiejską wypożycza prze-
wodniczący.

Uwaga. Sklepik wiejski w Zubrzy założo-
nym być nie może dla bliskości miasta (a ma-
lutkich funduszy) gdzie wszystkich, nawet
taniej niż gdzieindziej dostać można. Tylko
z solą możnaby założyć handel, radzono
o tym, ale mało groziła, więc niech jeszcze
kobiety sol we Lwowie kupują. Narzędzi nie za-
damy, natomiast brak nam ale straszny roz-
płodnika buhaja. — Co tu robić? — Kupić! —
Gdzie i za co? Kiedy nasza kieszeń jeszcze
za płytka, czyli lepiej próżna. Ale Bóg radzi
o swej czeladzi — jakos to będzie — zaczeka-
my! Ale — ale — kobiety to nieszczęście co
z niemi robić? — Gotowe toczyć rewolucję,
że chłopci gdzieś się włóczą lub przesiadują.
Wartoby ich się zepić, w gazetce pochwalić,
ażeby im to w piętę poszło. Może i kto po-
trafi — ale żeby skutkowało. Lecz czy one
będą czytać — więc niech im meżowie prze-
czytają. Daj Boże, abym na sprawozdanie za
rok 1882 więcej spotrzebował papieru i nie
narzekał na kobiety, ale ich pochwalił, bo to
nieładnie — Gosposie — matki — Polki — a
na nich narzekają! — fe! Ci chcecie czy nie
chcecie musicie się poprawić, aby nam wsty-
du nie robić.

Zubrza w styczniu 1882.

Antoni Maślanka, przewodniczący.”

Kółko w Zubrzy należy do najlepiej dzia-
jących. Najliczniejszym jest natomiast kółko
w Kopyczycach pod przewodnictwem Anto-
niego Szarka — liczące 78 członków.

Najlepiej według redakcji rozwija się kółko
rolnicze w Zubrzy, wprowadza zresztą pew-
ną rewolucję tylko w dziedzinie kulturalnej.
Członkowie zbierają się na czytanie gazety
i książek przez gazetę zaleconych, dyskutują
na tematy rolnicze, ale zmian żadnych zasad-
niczych w systemie życia swojej wsi wpro-
wadzić nie pragną i nie czują potrzeby. Sklepik
im niepotrzebny z powodu bliskości miasta,
narzędzi (czyli maszyn, które Towarzystwo
dla swych członków wykupuje po cenach niż-
szych lub na raty) nie potrzebują, chcieliby
jedynie mieć buhaja rozpłodnika i to zaspo-
kołoby tymczasem ich gospodarce niedostat-
ki. Niestety, sprawozdanie, ani redakcja nie
podają z jakiej części wsi rekrutuje się
owych 18 członków kółka w Zubrzy. 110-
morgowcy, jakie interesy klasowe łączą ich
w kółko rolniczym?

3 maja 1882 r. redakcja „Wienca” i „Pszczół-
ki” zwołuje znowu zebranie, które określa
między innymi podstawy ideologiczne To-
warzystwa Kółek Rolniczych.

„Własność ziemską tak większa jak mniej-
sza — mówi na zebraniu tym prezes To-
warzystwa W. Podlewski — coraz więcej usuwa
się z rąk dawnych właścicieli, nasze poczucie
średnie mieszczaństwo nie może podnieść gło-
wy tak jakby powinno, aby stanowić rdzeń
narodu, więc gdzie szukać ratunku dla za-
grożonej przeszłości? Naturalnie tylko tam,
gdzie wierna i niewzruszona w podstawach
swych tradycja, ta wielka zachowawczość
u ludu może dać najskuteczniejszą obronę
u podstaw narodowych. Tam pod słomianą
strzechą, pod skromną siermięgą zaniesiony
siew poczucia godności osobistej i poznania
praw i obowiązków narodowych, jedynie
wzmocnić potrafi budowę przyszłości, o mi-
liony zwiększyć kadry prawdziwie kochają-
cych ojczyznę obywateli”.

Obecny na zebraniu 3-majowym Karol
Miarka potwierdza praktyczność i celowość
organizacji kółek rolniczych na podstawie
doświadczeń w Westfalii i w W. Ks. Poznań-
skim.

„Tradycja, ta wielka zachowawczość” ludu
rolniczego, na jaką liczy dyrekcja Towarzy-
stwa Kółek Rolniczych, pozwala jej rozpocząć
pertraktacje z ziemiańskim Towarzystwem
Galicyjskim Gospodarskim, na czele którego
stoi Adam Sapieha. 10 lipca 1882 roku docho-
dzi do porozumienia i częściowego połączenia
Towarzystw chłopskiego i ziemiańskiego
zmierzających do jednego celu: podniesienia
krajowego rolnictwa. Oddział Towarzystwo
Oświaty i Pracy nazywa się oficjalnie To-
warzystwem Kółek Rolniczych i określa statuto-
wo swój cel jako: „Praca nad podniesieniem
rolnictwa i domowego przemysłu we wszy-
stkich ich gałęziach, tudzież staranie o una-
rodowanie ludu”. Prezesem Towarzystwa
Kółek Rolniczych został p. Bolesław Augu-
stynowicz, ziemianin, a jednocześnie wice-
prezes Towarzystwa Gospodarskiego. To prak-
tyczne połączenie władz obu Towarzystw
dawało nadzieję na to, że szlachta galicyjska
zaangażuje się czynnie w przodowniczą ro-
botę wśród chłopów.

Pierwszy zjazd chłopów z Towarzystwa Kółek Rolniczych odbył się w czasie wystawy rolniczej w Przemyślu. Na pokorne prośby chłopów wiecowi przewodniczył ks. Adam Sapieha — prezes Towarzystwa Gospodarskiego.

Taka jest pokrótce historia i kierunek rozwoju organizacji powstałej z inicjatywy gazety ludowej i na tej gazecie się opierającej. Akcja w zasadzie kulturalna zostaje wprężona w służbę gospodarczej, o jasnej dla nas ideologii solidaryzmu społecznego.

Ta organizacyjna, rewolucyjna, jeśli chodzi o funkcje pisma, rola gazety ludowej nie wyczerpuje się na akcji kulturalno-gospodarczej, którą „Czas” z góry potępia, pisząc, że teraz „lada diabeł pisze dla ludu i lud bałamuci”. Pozostaje jeszcze akcja religijna katolicka mająca na celu obok pobożnych cele polityczne oraz w ambicjach pisma leżąca akcja wpływania na czynniki państwowe w myśl własnych idei pisma.

Wprawdzie Sejm i Wydział Krajowy nie doceniają roli wydawnictw dla ludu, o czym świadczy niedza, z którą galicyjskie pisemka ludowe się borykają. Zgasty naturalną śmiercią w Krakowie „Włoszianin” i „Zagroda”, w Tarnowie „Gwiazda”. Pozostaje obok „Wienca” i „Pszczółki” tylko „Chata” z „Nowinami”, podczas gdy ruskich pism wychodzi w Gali-

cji 6. Toteż redakcja „Wienca” i „Pszczółki” kołata uparcie w Sejmie i domaga się otoczenia wydawnictw ludowych stałą opieką państwową. Udało się jednak redakcji uzyskać tylko jednorazowe, groszowe subwencje. Nie zważając na to lekceważenie spraw prasy ludowej redakcja gazety znowu po raz pierwszy w historii czuje się instytucją polityczną powołaną do zwracania się do Sejmu z żadaniami w imieniu opinii, którą gazeta reprezentuje.

Tak np. w r. 1881 gazeta wzywa chłopów do gremialnego podpisywania petycji do Rady Państwa w sprawie zadłużonych posiadłości włościańskich, w sprawie cła ochronnego i gminnych kas rezerwowych.

Podobnie gazeta wnosi na Sejm Krajowy w roku następnym 2 wnioski: 1-szy o ustanowieniu wędrownego nauczyciela dorosłych, na razie jednego — p. Michała Konstantynowicza z Królestwa Polskiego, który wyhalał metodę uczenia dorosłych przy pomocy ruchomego alfabetu i w krótkim czasie osiągnął w paru wsiach zadawalające rezultaty nauki.

2-gi — o ustanowieniu podobnych wędrownych nauczycieli gospodarstwa.

Wnioski te poprzedzone zostały odpowiednią agitacją w piśmie. Sejm przychylił się do pierwszego żądania, ustanawiając pensję dla p. Konstantynowicza, oraz ustanowił na próbie

jednego na razie nauczyciela gospodarstwa dla chłopów w okolicach Dublin i Lwowa — w osobie p. Wł. Grodzkiego — nauczyciela szkoły parobków w Dublinach. Miał on zresztą tylko w czasie wolnym od zajęć w szkole parobczańskiej wędrować i udzielać chłopom porad gospodarskich.

W akcji religijnej leżało organizowanie zbiórki pieniędzy wśród chłopów na Świętopietrze, „na Ojca Św.”, który w uciśku i ubóstwie pozostaje, oraz organizowanie pielgrzymek pobożnych. Na taką pielgrzymkę ścignięto chłopów do Krakowa do grobu św. Stanisława — była to pielgrzymka „narodowa” — połączona ze zwiedzaniem pamiątek historycznych Krakowa, grobów królewskich itd. Pewien chłop, Antoni Chmura — dzieląc się w piśmie wrażeniami z pielgrzymki nie znajdował słów uwielbienia i podzięk dla braci Potockich, którzy zapytani o coś w katedrze uprzejmie odpowiedzieli i oprowadzili grupę chłopów po Wawelu.

Prawdziwą jednak pielgrzymką na wielką skalę była pielgrzymka do Rzymu zorganizowana w r. 1881. W specjalnym numerze dla pielgrzymów w artykule „Do Rzymu!” — redakcja wyjaśnia polityczne znaczenie pielgrzymki. Jest ona manifestacją „przeciw strupieszale Rosji”, gdyż wykazywać ma możliwość słowiańskiej jedności i poza Rosją.

Redakcja chlubi się nawet, że pielgrzymka chłopów polskich z Galicji wywołała zaniepokojenie w pismach rosyjskich, które wyrażają obawy, że Austria zamierza połączyć niektóre narody słowiańskie pod berłem Habsburgów.

O tej pielgrzymce, która dostarczyła pismu materiału wspomnień i wrażeń na długi czas — myśli zapewne w jednym ze swoich listów do Jeza z dn. 20.X. 1881 r. Orzeszkowa. Skarżąc się na artykuł Sienkiewicza w „Gazecie Polskiej” o „Zarysie” Chmielowskiego pisze ona: „Fałsze, wedle mnie, są ogromne. Jaki? Konserwatywne i postępowe stronnictwa u nas nie różnią się w środkach, za pomocą których pragną naród wieść do wspólnego zapewne celu! Jaki? Srdkiem do podtrzymania i wzmacniania narodowego życia, moim lub np. Świętochowskiego ma być całowanie papieskiego pantofla i prowadzenie do Rzymu gromadki ciemnych chłopów, aby do chat swych wrócili głępszymi jeszcze, niż byli wyjeżdżając!”

Takiej to oceny pod piórem postępowej pisarki pozytywizmu doczekało się galicyjskie organizowanie kultury przez najbardziej wpływową, najaktywniejszą gazetę ludową pozytywizmu wiejskiego w Galicji.

Anna Kamińska

Ludwik Łakomy

Fot. M. Musiał

ROZMOWY NA WZDOLE

Jest piękne, letnie przedpołudnie niedzielne, kiedy idę długą, bo trzydziści kilometrów liczącą trasą, którą z Suchedniowa przez Michniów, Wzdół, Bodzentyn i Stupię Nową wieszczę aż na Łysą Górę. Idę rozmyślając, jak opracować dla „Wsi” zagadnienie bibliotek oraz czytelnictwa na terenach trzech gmin łysogórskich: bodzentyńskiej, nowo-słupieckiej i suchedniowskiej. Pamiętam o tym, że w 1945 roku jedna książka przypadała w Polsce na 24 mieszkańców, a w 1955 przypadać już będzie na dwóch.

Napisać reportaż — nie łatwa to sprawa. Nie można: tu przykładać, tam uprościć. Tu nie fakty są ważne, ale „sprawy, które trzeba załatwić, trudności, które należy pokonać”.

Trzeba przede wszystkim rozległej wiedzy o terenie posiadać w wysokim stopniu zmysł uwagi i spostrzegawczości, bo one są głównymi cnotami reportera. Reporter ma ukazać w przekroju — to „coś”, co jest przemianą, niejako uchwyconą na gorącym uczynku stawianiem się.

Cóż jednak można zauważyć na takim obszarze, jak podnóża Łysogór, jeśli na słowo uwierzmy Żeromskiemu, że tkwi tu niezmiennosc odruchów, kamienność, jak gołobór Łysicy, zachowawczy kształt chłopskiej egzystencji, który, w myśl zdania piewcy Puszczy Jodłowej, wobec gwałtownie dokonujących się przemian społecznych wywołuje jakoby wrażenie nie tylko biologicznego, ale i społecznego konserwatyzmu.

Zrazu we Wzdole nie mogę jakoś dostrzec tego „konserwatyzmu”. Na chybił trafił wchodzę do pierwszej z brzozy zagrody i — jestem oszołomiony. Porządne zabudowania, podwórza wyłożone płytami betonowymi, na którym nawet słomki nie dojrzą.

Wiadomo: podwórce to świadectwo gospodarza; jeśli jednak, gospodiu, lubisz patrzeć w lustro, patrz w swój dom, a zwłaszcza w jego wnętrze.

Na stole, przy którym zasiadłem w oczekiwaniu na mleko, leży rozwartą książka, a obok niej zeszyt, zapisany okrągłym, wyrobionym piśmem kobiecym. Tytuł książki: „Znachor” Mostowicza. Zajrawszy do zeszytu czytamy: „Sliczna, zachwycająca książka. Jakże bym chciała zostać asystentką takiego „Znachora”.

— To właśnie moja córka czyta tę książkę — mówi gospodyni widząc, że przeglądam „Znachora”. — Nasza jedynaczka. Dla niej książki, to jak chleb. To po szkole rolniczej nabrała takiego zamiłowania do książek.

— Teraz pewnie czeka na męża?

— Ano, jakby się znalazł chłopak niedzielszych zasad, może by się i wydała.

Zapamiętaj sobie, czytelniku: „niedzielszych zasad”.

Właściciele zagrody, w której przebywam, posiadają sześć hektarów ziemi. Głównym je-

dnak ich dochodem są wpływy z masła. Wzdół od dawien dawna słynie z wyborowej jakości swych produktów mlecznych.

— Masło wzdolskie — mówi gospodyni — jeszcze przed wojną było znane w Warszawie za jedno z najlepszych. Toteż kiedy następowały roztopy wiosenne lub szarugi jesienne, uniemożliwiające Wzdolowi komunikację ze stacją kolejową w Suchedniowie, warszawskie panie wołały raczej używać margaryny, niż obywać się bez naszego masła.

Gospodyni wyraża się poprawnie, bez naleciałości gwarowych. Śnać dłuższy czas musiała przebywać w mieście.

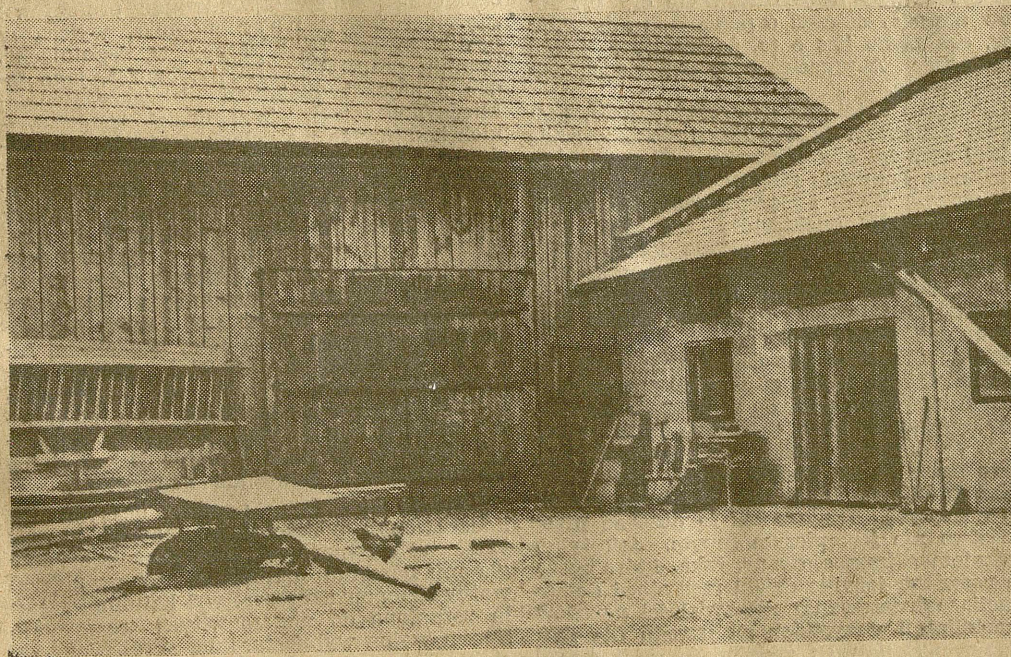
Z dalszej rozmowy dowiaduję się, że po deszczu droga wzdolska zamienia się w bagno. Północne, podłysogórskie grunta lessowe bardziej nasiąkają wilgocią, niż rędzina przorska.

— Naprawdę przed wojną — ciągnie moja informatorka — gospodarze wzdolscy zabiegali w Kielcach o budowę drogi bitej. Przez osiem miesięcy w roku toniliśmy w błocie, a województwo nie dbało o to, aby wieś połączyć z koleją, choćby wysypianą kamieniami drogą. Ja co prawda tu nie przebywałam, bo mąż był instruktorem w Grudziądzu przy wojsku. Zresztą gospodarz, który mieszka obok, poinformuje pana dokładnie.

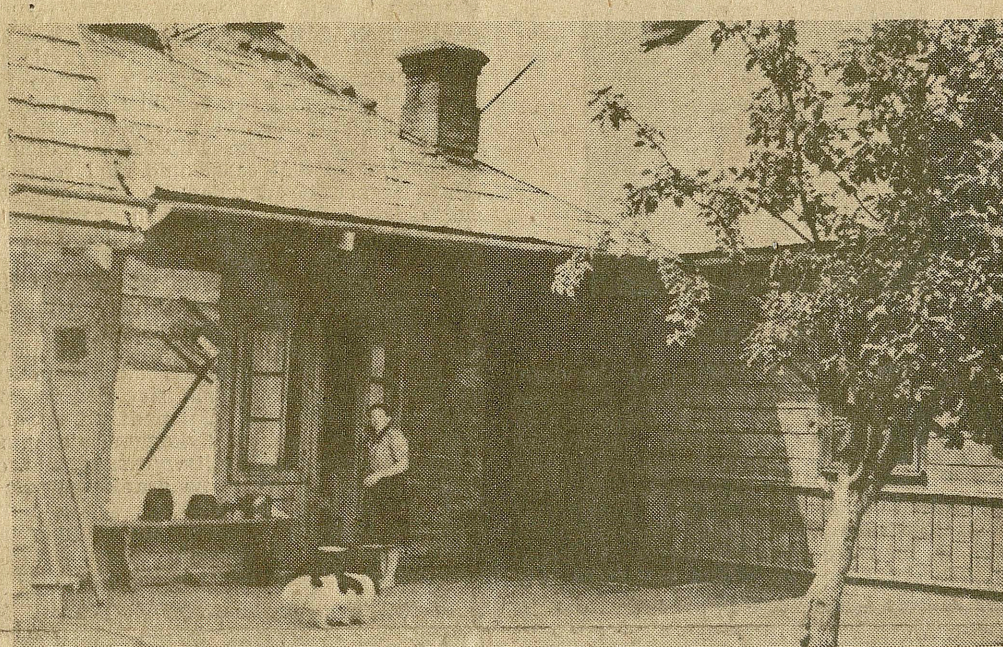
Przez półuchylone drzwi dostrzegam w pokoju portret Piłsudskiego.



„Najlepiej podoba mi się książka o Danusi i Jurandzie”



„Podwórce to świadectwo gospodarza”



„Jeśli lubisz patrzeć w lustro, patrz w swój dom”

W słońce, na stołeczku, widzę znowu książkę Sienkiewicza „Kryżacy”.

— A to nasza babcia wieczorami lub przy pasionce czyta tę książkę.

— Ile ta babcia ma lat?

— O, już dawno skończyła sześćdziesiąt.

Idę do „babci”, która do krówy. Gospodyni podaje za mną dzwigając spore naczynie słodkiego łubinu. Po drodze objaśnia:

— Słodki łubin łącznie z suchą karmą z naszych łysogórskich pastwisk należą do pasz treściwych. Krowa na samej paszy suchej daje mleka niewiele, choć ono będzie gęste. Nam zaś chodzi o to, żeby ono było dobre i w dużej ilości. Osiągamy to za pomocą karmienia krów mieszkankami pasz treściwych, do których należą słodki łubin z karmą suchą.

— Skąd pani to wie? — mimowoli wyrwa mi się pytanie.

— Ano z książek...

Babcia, zapytana o lekturę, ociągając się odpowiada:

— Na pasionce, to se ta cytuję różności. Teraz nojlepi mi się podobno książka o Danusi i Jurandzie. A czytałam też o „Matce” (Sewera — przyp. L. Ł.) Piękno książka.

— Ja zaś — rozlega się za mną czyjś głos — najbardziej lubię Żeromskiego. Przecież to, co on opisuje na początku „Popiołów”, działo się w naszej wsi za pańszczyzny.

Oglądam się. Widzę dwudziestoparoletnią kobietę w odświętnym wełniaku.

— To właśnie córka tego gospodarza, do którego pana skierowałam.

Idziemy. Kobieta mówi:

— To pan z „gazety”? Ciekawy pan, jaka kto najlepiej książkę lubi. Niedawno czytałam „Kordiana” Chłama — dziadusiowi, który na własny plecak odczuł pańszczyznę. To, mówię panu, dziadusiowi jak groch łyż sypały się z oczu, gdy przypominał sobie, co to szlachta dawniej z nami wyrabiała...

Chata, do której wchodzę, znacznie biedniejsza od poprzedniej, chociaż czysta nad podziw, mimo obecności dwójki małych dzieci.

— Ta! to jakiś pan z gazety do was — objaśnia kobieta uchyłając drzwi na przeciw.

Wychodzi mężczyzna suchy, zawiędry, o mądrych, skupionych oczach chłopskiego myśliciela. Wygląda, jakby szpakami był karmiony z młodu.

— Co to za przyjemność zapisywać każdą bzdurę? A jeszcze o tych książkach — mówi.

Rozumiem, że idzie mu o to: Jeśli pisać o Wzdole, to już wszystko. Z częściowego zapisywania tylko szkoda może wyniknąć, bo się szuka ludzi.

Wobec tego odpowiadam mu:

— Nie, to nie tak; część zapiszę, potem dopełnię szczegółami znanymi mi skądinąd i tak złoży się całość.

— Ha, więc powiem, co mi wiadomo. U nas, we Wzdole, czyta się dużo, bo coś ro-

bić w czasie długich wieczorów jesiennych i zimowych? Tylko z książkami jest gorzej, bo nie zawsze są takie, jakie byśmy chcieli czytać. W naszej wsi nie ma analfabetów. Od 1945 roku mieliśmy szkołę, samorządnie przez nas stworzoną i przez gromadę opłacaną. Aż do pierwszej wojny światowej w naszej gminie bodzentyńskiej były szkoły w Bodzentynie, Wzdole, no i carska, w Psarach, do której uczęszczał nasz ziomek, Żeromski. Bardzo wcześniej zdaliśmy sobie sprawę, że „Bez oświaty, głodne chaty”. Wtedy nie było przymusu szkolnego, więc na terenie całej gminy Bodzentyn liczbą analfabetów przekraczała 70 proc. Dopiero my pierwsi założyliśmy Macierz Szkolną, uruchomiliśmy czytelnię, a w 1912 roku zorganizowaliśmy mleczarnię spółdzielczą. W ślad za nią powstała spółdzielnia spożywców, potem kółko rolnicze, a nawet kółko gospodni wiejskich, które przed 1914 rokiem uruchomiło warsztaty tkackie, produkujące samodziały i nasze piękne zapaski świętokrzyskie. Odkąd tylko pamiętam, kierowaliśmy się zasadą, że w nosie dłuhać nie pora, a sprawy same nie chodzą, lecz trzeba je prowadzić.

— Ile ziemi, gospodarstw i mieszkańców liczy Wzdół?

— Ogółem jest 1600 hektarów, 500 gospodarstw i około 3 tysięcy mieszkańców, gospodarujących we Wzdolach: Rządowym, Plebańskim, Kolonii i Kapkaczach. Jesteśmy raczej gromadą małorolnych, lecz dzięki spółdzielczości i oświacie radzimy sobie niezgorzej. Już przed tamtą wojną posiadaliśmy spółdzielnię trzój i rozdrabniacz do makuchów dla racjonalnego żywienia krów, bo na gospodarke mleczną kładło się u nas zawsze największy nacisk. Stale jednak pracę rozwojową hamował nam brak drogi bitej.

— No, już te drogi wam budują.

— A tak. Departament Zatrudnienia Ministerstwa Pracy ma tu olbrzymią zasługę, umożliwiając nam dostęp do kolei i przez to zbyt naszych produktów. Nadto jest u nas nieco bezrolnych i bezrobotnych, którzy dzięki tej drodze zyskali źródło utrzymania. Sami również nie pozostajemy w tyle ofiarowując 11 tysięcy dniówek udziału w świadczeniach szarwarkowych na drogi powiatowe, w tym głównie na drogę Suchedniów — Bodzentyn — Stupia Nowa, trasę, która przebiega przez naszą wieś. A widzieliście już naszą szkołę? Jeszcze niezupełnie wykończona. Chłuba to nasza, źródło, skąd wypływa — wszystkie imprezy kulturalne i gdzie się koncentruje ruch czytelniczy. Kościół tak samo wspinały. Zbudowała go rodzina górników włoskich Servallich jeszcze w 1687 roku. Mieliśmy też proboszcza-ludowca, księdza Drygasa. Zmarł na udar serca w ubiegłym roku, a był taki, że co wziął, to z nawiązką rozdał. Pono Kuria Biskupia niechętnym

okiem nań patrzyła. Bo jakże! Naszych gwardystów ludowych błogosławił, w żywność ich zaopatrywał, lecz tak, że najlepszego doktora w kozi róg mógł zapędzić i stale powtarzał: „skończyły się i już nie powrócą pańskie czasy”.

— Osobliwy jakiś ksiądz.
— A pewnie! Zawsze mówił: „Chrystus był pierwszym komunistą” — to też cały Wzdół po nim płacze. Do roboty to się tak brał, że aż miło. I ciesioka mu była nie obca i w murarce niejednego majstra zakasował, cegielnię nam tu i betoniarnię organizował, bo, powiedział: „Lasy się skończyły, zostały po Niemcach same młodziaki, to trzeba przejść na budulec ceramiczny: na dachówki, cegły i beton”.

— Wspomnieliście o Stronnictwie Ludowym. Czy peesłowców u was nie ma?
— Jeden rozum dobrze, a dwa gorzej, to i jedną partię chłopską tylko mamy. Książę Drygas zawsze powtarzał: „W jednoci chłopów siła, a te Miłkołajczyki nie myślą dla nas

dobrze, nie”, więc posłuchaliśmy jego rady, podobnie jak w 1942 roku, kiedy to Narbut Gwardii Ludową organizował. Przecież w naszej wsi powstał pierwszy w Łysogorach oddział Gwardii Ludowej. Nie było chłopaka, żeby do niego nie należał. A iluż to nasza wieś przechowywała Żydów! Takich Hermanów, chłopów jak dęby, ksiądz nakazał żywić i chronić, bo, powiadał: „Żyd tak samo brat, a Niemcy to głupi naród. Za płytko lubią pływać, no i złodziej. Weale nie umieją gospodarzyć, bo przyzwyczaili się tylko obdziierać innych jak bandyci, z tego żyją i myślą, że z taką. Boże odpuść, kultura, zawojują cały świat”. Książę Drygas był chyba jedynym z proboszczów, który nie odczytał listu pasterskiego biskupa kieleckiego o nieudzieleniu pomocy partyzantom.

— A cóż z „Samopomocą Chłopską”?
— Ho-ho, mamy aż dwustu członków! Prezesuje nam chłop młody, koło trzydziestki, który ciąglem powtarza, że żyć po staremu niesposób i takie trwonienie sił ludzkich

i pracy, jakie jest związane z drobnym poszczególnym gospodarstwem chłopskim, nie może trwać w dalszym ciągu.

— No to jakże będzie? Chyba stworzyć wiejską spółdzielnię produkcyjną?

— Kto wie, może i stworzymy. Już powiedziałem: sprawy same nie chodzą, trzeba je prowadzić. A z naszym chłopem — niełatwo. Trzeba doń podejść z mądrym słowem, otwartą głową, dużą wiedzą, umiejętnością rozumienia wszystkich na raz i tłumaczenia każdemu, co potrzeba. Trzeba tak podejść, jak z tym kółkiem myśliwskim, cośmy je tu bodajże przed dwudziestu laty zorganizowali.

— No-no, to i kółko myśliwskie macie;

— Jużci. Nazywa się: Kółko Myśliwskie „Łysica” we Wzdole, Liczy 40 członków. Jego celem — ochrona zwierząt i w ogóle przyrody. Ale o tym, jak powstało i działało, można by napisać całą powieść.

— Kiedy już mowa o powieści, powiedzcie mi, jakich utworów literackich potrzeba dla wsi?

— Ja ta nie pisarz, ale myślę, że trzeba książek prostych, zrozumiałych, silnych i współczesnych. A przede wszystkim trzeba pisać dla teatrów ludowych, bo na tym polu — prawdziwa posucha. Ja osobiście lubię powieści Kowalskiego i Rudnickiego.

— Jestem ciekawy waszego sądu o „Starym i Nowym”.

— Podobno mi się opis jego Sulejowa. Ten Sulejów, to coś takiego, jak nasz Bodzentyn. Uważa się za lepszego od wsi, a w gruncie rzeczy... Eh, lepiej sami tam pojedźcie i zobaczcie. Warto. Ja zaś zamilczę, żeby ciszej było. Już i tak gadają, że — pyskają.

— Ano, kiedy tak, to pójść do Bodzentyna. Na zakończenie powiedzcie mi, czy myślicie kiedy nad określeniem zalet, które winien posiadać dobry obywatel?

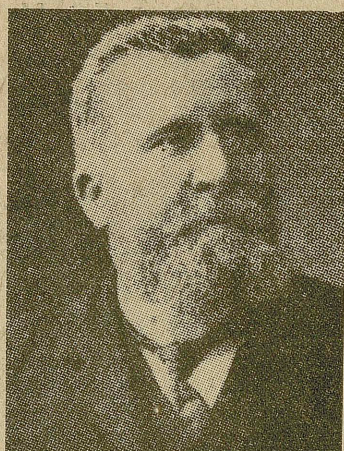
— Co ta nad tym filozofować! Mnie się wydaje, że mało by dobrym, lojalnym obywatelem. Trzeba się stać uświadomionym. A uświadomienia gdzie szukać, jeśli nie w książce?

Ludwik Łakomy

Zofia Rzeplińska

JEAN JAURÈS

(W 35-tą rocznicę śmierci wielkiego bojownika o pokój)



Jean Jaurès

Dnia 31 lipca 1914 r., w kawiarni Croissant, obok redakcji dziennika „L'Humanité”, został zamordowany znakomity przywódca socjalistów francuskich, Jean Jaurès. Strzał padł przez okno w momencie, kiedy wielki trybun ludu francuskiego, pochłonięty układaniem planów kampanii dla uratowania pokoju, nie mógł zauważyć uchylenia firanki i wsuwającej się ręki. Walka przeciwko wojnie była treścią życia Jaurèsa i stała się przyczyną jego śmierci. Spiskowcy wielkiego kapitału nie mogli ścierpieć namiętnego propagatora idei pokoju w przeddzień wielkiej rozgrywki, dającej szansę nowych zwycięstw — wysłali więc przeciw niemu nawał obłąkanego degenerata — mordercę, Paula Villaina. „Zamordują pana” — powiedział mu bezpośrednio przedtem Albert Ferry, podsekretarz stanu, przed którym na ozele delegacji socjalistów rzucał namiętne argumenty na rzecz walki o pokój. Ferry przysłuchiwał się wywodom Jaurèsa z głębokim podziwem dla jego intelektu i ducha, kiedy jednak usłyszał zapowiedź kampanii przeciwko wojnie, powiedział: „Nie ośmielisz się pan tego uczynić, zamordują pana na pierwszym rogu ulicy” i dodał: „wszystko już skończone”.

Ani względ na własne życie, ani świadomość przegranej sprawy nie wpłynęły na stanowisko Jaurèsa. Twierdził przecież, że „odwaga — to znaczy rozumieć własne życie, określić je, pogłębić i związać z życiem ogółu”. Dnia 31 lipca życie miało dla niego wartość o tyle, o ile mógł jeszcze zapobiec zbliżającej się katastrofie. Prosto z parlamentu miał udać się do redakcji, żeby pisać artykuł o „Odpowiedzialności Europy”. Nie przyszło mu na myśl, aby potraktować na serio przestrożkę Ferry'ego, aby zwrócić uwagę na własne bezpieczeństwo. Nie chciał przewidzieć, że z tyłu czai się już morderca, wysłany przez tych, którzy jak ognia lekali się, że dzięki pokojowej propagandzie Jaurèsa wyniszczy się im z rak nie było jaka, od lat przygotowywana gratka wielkiej wojny.

Zabójstwo Jaurèsa było makabrycznym zakończeniem swobodnego rodzaju wysięgu. Z jednej strony stawały do współzawodnictwa zwarte falangi reakcji francuskiej, kapitał bankowy, właściciele kopalń i żelaza, fabrykanci armat i amunicji, z drugiej wielki socjalista, bojownik o pokój i prawa klasy robotniczej.

Wysięg trwał. W ostatnich dniach lipca 1914 r. świat wielkimi krokami szedł ku wojnie. 27-go mobilizacja w Serbii, 28-go Austria wypowiada Serbii wojnę; angielski minister spraw zagranicznych Sir Edward Grey proponuje zwołanie konferencji dla pośrednictwa. 29-go lipca Rosja koncentruje armię u granicy austriackiej. Ale tego samego dnia na wiecu w Brukseli Jaurès woła: „My socjaliści francuscy domagamy się od rządu naszego, aby z całą siłą żądał od Rosji wstrzymania się od czynnej roli. Gdyby na nieoszczędnie nie spełniła tego żądania, mamy obowiązek oświadczyć: „Znamy jeden tylko traktat: ten który nas wiąże z ludzkością”.

A przedtem jeszcze, 25-go lipca, na łamach „L'Humanité” ukazuje się jego artykuł o ultimatum austriackim. „Nota ministrów austriackich — stwierdza — jest przeraźliwie twarda, obliczona na to, aby poniżyć naród serbski lub na to, aby go rozdeptać. Być może nota ta pisana jest z zamiarem, aby wojnę uczynić nieuniknioną”.

Tego wieczora mówi pod Lionem raz jeszcze o odpowiedzialności Europy. Mówi o chytrej dyplomacji niemieckiej i rosyjskiej, o

polityce kolonialnej Francji, o brutalnej woli Austrii, o tych czynnikach, które według niego ściągały pożar na ziemię. Jaurès jest idealistą. Sądzi, że dość będzie wykazać rządowi nikczemność ich polityki, aby wywołać skrucę i zmianę w ich działaniu. 29-lipca przyjeżdża prosto z kongresu brukselskiego do Paryża i biegnie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie wraz z towarzyszami żąda natychmiastowej audiencji. Otrzymuje solenne zapewnienie, że Francja niczego tak bardzo nie pragnie jak pokoju i czyni wszystko, aby pokój zachować. Nie dowiedział się jednak o tym, o czym ambasador francuski Paléolog zapewniał codziennie rząd rosyjski: „Rząd francuski zdecydowany jest całkowicie działać łącznie z rządem rosyjskim”. „Rząd rosyjski może całkowicie liczyć na sojusznika swego, Francję...”

Jaurès otrzymuje natomiast niezbyt dowód pokojowych zamiarów Francji, a mianowicie wiadomość, że patrol graniczny otrzymał rozkaz cofnięcia się dziesięć kilometrów w głąb kraju. O trzeciej zaś nad ranem Rada Ministrów zastanawiała się nad mobilizacją wobec deszpy, jaka nadeszła do ambasadora niemieckiego, komunikującej, że Niemcy zażądały od Rosji wycofania, co znacząco ruchy jej wojsk na granicy austriackiej. Jaurès łudził się jeszcze. „Jeszcze nie wszystko stracone”, „Jeszcze nie wszyscy potracili głowy”. Wieczorem pisze artykuł wstępny do „L'Humanité”, pełen optymistycznych tonów. Wciąż powraca do projektów pośrednictwa. Nie wiedział nic jeszcze o postanowionej mobilizacji niemieckiej. Wybrał się z listami i depeszami do Anglii i do Wilsona. Skarżył się na meżów stanu, „tak lekkomyślnych, że uważają wojnę za fakt dokonany”. 31-go lipca wzbudzony i rozgorączkowany walczył w parlamencie, zwołuje

Jean Jaurès

Z „PISM POLITYCZNYCH”

Wyjętek z artykułu „O ojczyźnie”

Co mają na myśli ci, którzy twierdzą, że rewolucja społeczna i międzynarodowa odrzuca pojęcie ojczyzny? Czy według nich obrażenie społeczeństwa powinno dokonać się z zewnątrz, przy pomocy sił obcych? Takie twierdzenie byłoby zaprzeczeniem idei socjalistycznej, według której nowe społeczeństwo może powstać dopiero wtedy, gdy wszystkie jego elementy zostaną odpowiednio przygotowane przez społeczeństwo poprzednie. Wówczas dopiero powszechny międzynarodowy czyn rewolucyjny nieść będzie na sobie wszelkie znamiona narodowej rzeczywistości. W każdym kraju będzie on musiał zwalczać odrębne trudności i w walce tej będzie mógł posługiwać się środkami odpowiednimi dla danego kraju, jak np. historią narodową, tradycjami narodowymi itp. Miał już okres, kiedy utopiści uważali komunizm za jakąś sztuczną wyhodowaną roślinę, która może kwitnąć, kiedy się chce, i w takim klimacie, jaki wybierze dla niej przywódca jakiejś sekty. Nie ma już lkarli. Socjalizm nie jest już oderwany od życia, ani od narodu. Nie odrzuca on ojczyzny, lecz posługuje się nią, aby ją przeobrazić i rozszerzyć. Internacjonalizm abstrakcyjny, anarchizujący, lekceważący sobie warunki walki, czynu i ewolucji poszczególnych grup narodowych nie byłby niczym innym, jak tylko drugą lkarcią, jeszcze bardziej przestarzałą i nierealną niż ta pierwsza.

Odrzuć ojczyznę i jej prawa można tylko w następujących wypadkach:

1) Jeżeli się przekształca poszczególne grupy narodowe w maleńkie ugrupowania niepowiązane ze sobą niczym, pozbawione całkowicie idei jednoci. Takie rozwiązanie jest jednak niewykonalne i żaden rewolucjonista nie bierze go pod uwagę, gdyż nawet ci, którzy pragną zastąpić państwo scentralizowane federacją komun lub grup zawodowych, nie odrzucają ojczyzny, lecz tylko ją przeobrażają. Taki Proudhon np. był zagorzałym patriotą francuskim i usiłował nawet zapobiec powstawaniu grup narodowych sąsiadujących z jego krajem.

2) Jeżeli się realizuje idee jednoci ogólnoludzkiej przez podporządkowanie wszystkich krajów jednemu. Byłby to jednak potworny imperializm, o którym umysły nowoczesne nie mają prawa nawet myśleć. Jedność całej

ludzkości może więc być osiągnięta jedynie przez utworzenie wolnej federacji państw autonomicznych, odrzucającej wszelką przymoc i podporządkowaną zasadom prawa. Nie jest to więc niszczenie ojczyzny, lecz jej uszlachetnienie. Ojczyzna staje się wówczas bardziej ludzką, nie tracąc nic ze swej niezależności i cech właściwych narodowi.

Wyjętek z mowy Jaurèsa, wygłoszonej w przeddzień wybuchu pierwszej wojny światowej

W tej chwili tak pełnej powagi, tak groźnej dla nas i dla wszystkich krajów, nie chcę tracić czasu na zastanawianie się, kto ponosi odpowiedzialność za obecną sytuację. Część tej odpowiedzialności ponosimy my sami. Powiedział to już Moutet i ja ze swej strony stwierdzam wobec historii, że przewidzieliśmy tę odpowiedzialność i ostrzegaliśmy przed nią. Gdy oświadczyliśmy, że wkraczamy przemocą i zbrodnią do Maroka oznaczając dla Europy zapoczątkowanie ery przestępstw ambicji, marzeń o podbojach i konfliktów, oskarżono nas o to, że jesteśmy chłymi Francuzami. A przecież nam właśnie złożyło o Francję.

Oto jest niestety ta odpowiedzialność, którą my ponosimy. Jeszcze lepiej zdajemy sobie z niej sprawę, gdy bierzemy pod uwagę, że przyczyną konfliktu między Austrią a Serbią jest sprawa Bośni i Hercegowiny. Kiedy bowiem Austria anektowała ten kraj, my, Francuzi, nie mieliśmy prawa jej potępić, gdyż prowadziliśmy wówczas wojnę w Maroku i musieliśmy najpierw uzyskać przebaczenie naszych własnych grzechów, zanim mogliśmy rozgrzeszać innych...

Klasa robotnicza jest czynnym więcej niż jakikolwiek inną klasą, gdyż pełni ona najbardziej dynamiczną funkcję w rozwoju narodu. Przeklinając ojczyznę, przeklina tylko nędzę, która je ojczyznę hańbi, niesprawiedliwość, która dzieli ją na wrogie obozy, nienawiść, która ją oślepia, kłamstwa, które ma rzekomo pokrywać. Dlatego też to pozorne przekleństwo nie jest niczym innym, jak tylko wołaniem o inną ojczyznę, taką, która może się rozwinąć jedynie dzięki rozwojowi demokracji, ugruntowaniu niezawisłości narodów i mobilizacji wszystkich sił narodu dla rozwiązywania nowych zagadnień, czyli dzięki rozszerzeniu idei ojczyzny.

łował dokonać niemożliwego połączenia materialistycznej i idealistycznej koncepcji pojmowania dziejów. Pragnął stworzyć syntezę Marksa i Micheleta. Myśl o zespoleniu tych dwóch przeciwstawnych systemów filozoficznych dawała mu złudzenie jakiegoś pozytywnego novum, w rzeczywistości jednak oznaczała kapitulację przed idealizmem. Socjalizm Jaurèsa nie opierał się na żelaznych przesłankach materializmu historycznego i obiektywnych obserwacjach rozwoju dziejów — wypływał raczej z wewnętrznych pobudek etycznych niż z konsekwentnie wyrozumowanego światopoglądu. Problem naprawy społecznej rozwiązywał bardziej w sferze uczuć niż w sferze logiki.

Wprawdzie z głęboką żarliwością głosił, że nie ma ideału szlachetniejszego, jak ten, w myśl którego w społeczeństwie pania suwerenna będzie Praca, w którym nie będzie ani wyzysku, ani krzywdy, gdzie wysiłek wszystkich będzie swobodny, skoordynowany, w którym własność społeczna będzie gwarantowana i podstawą rozwoju indywidualnego; nie rozumiał jednak konieczności bezwzględnej przebudowy ustroju, aby marzenie o hegemonii pracy wśród innych aktywów społeczeństwa ze sfery gorących pragnień przeszło w sferę rzeczywistości.

Wprawdzie wszem i wobec całemu światu obwieszczał, że „klasą intelektu, prawdziwego intelektu pomimo nieświadomości i niewiedzy jest klasa robotnicza”.

Wprawdzie niewielu mówców tak celnie wyraziło dynamizm żywoty tej klasy jak on w słowach: „Proletariat nie jest stadem niewolników nieskończenie zreygnowanych, ale siłą świadomą, która codziennie się odradza, która co dzień się lepiej organizuje, która codziennie się zrzesza, w której słabość każdego poszczególnego człowieka, staje się w sumie potęgą wszystkich”. Ale jego oportunistyczna, niemarksiistowska taktyka w rzeczywistości rozbrajała proletariata wobec burżuazji.

Punktem szczytowym walki Jaurèsa przeciwko siłom reakcyjnym była sprawa Dreyfusa, podczas której objawił się jego wsparty talent oratorski, bezkompromisowość w atakowaniu wroga, wielka odwaga cywilna. Była to jednak tylko walka o sprawiedliwość, walka o cierpiącego niewinnie człowieka, o ideały ogólnoludzkie, wyznawane przez każdego szlachetnego radykała, nie stanowiące żadnego etapu w rewolucji proletariatu. A przecież burżuazja lekkała się Jaurèsa i nienawidziła go głęboko. Nie było kalumnii, którymi by burżuazyjna reakcja nie obrzucała Jaurèsa, byle tylko osłabić jego wpływ w masach społeczeństwa. Tym zawzięta stawała się kampania prześladowań, im bardziej nieosiągalny stawał się jej cel. Jaurès — jeden z najwybitniejszych działaczy w historii francuskiego ruchu socjalistycznego, natchniony trybun ludu, pomimo idealistycznego charakteru swej filozofii bliski proletariatu, cieszył się dużą popularnością wśród ludu Francji i ogromną sympatią wśród rzesz robotniczych. Do dziś dnia pomniki jego otaczane są szacunkiem. Kiedy w 1942 r. rząd Vichy chciał usunąć pomnik Jaurèsa w Carmaux, górniczy zorganizowali całonocną straż, oświadczaając prefektowi: „Jeżeli ruszycie nasz pomnik, wylecą w powietrze wszystkie szyby w kopalniach”. Pomnik pozostał nietknięty. Jaurès, jako jeden z najaktywniejszych działaczy Drugiej Międzynarodówki, brał udział we wszystkich kongresach i zjazdach w Hadze, Amsterdamie i Bazylei, był duszą strajków i manifestacji robotniczych, założył „L'Humanité” i jako znakomity orator, publicysta i polityk bronił interesów klasy robotniczej w parlamencie, na łamach prasy, z trybunu oratorskiej. Jako świetny historyk demaskował w swych dziełach antagonizmy interesów ekonomicznych, ukryte pod maską antagonizmów ideowych, a w swej znakomitej historii Rewolucji Francuskiej, pełnej „oaz marksistowskich”, ukazał we właściwym świetle socjalno-ekonomiczne tło i powiązania mechanizmu dziejów. Z tego to inicjatywy powstała Komisja Badania Dokumentów Ekonomicznych Rewolucji Francuskiej.

Pomimo idealizmu, pomimo licznych niekonsekwencji politycznych, Jaurès odegrał wielką rolę postępową i tego właśnie nie mogła mu darować burżuazja. W przeddzień wojny kampania oszczerstw i kalumnii została rozpetana do niesamowitych rozmiarów. Zanim wojna wybuchła, kulą skrytobójczą został zgładzony ten, który najzacieklej bronił swojej ojczyzny i całej Europy przed wojną.

Marianna Kościńska

Pod płóciennym kapeluszem

Ksiądz dyrektor wycierał cwikier w żółta jak jajecznicza یرچه. Wypolerowany założył na nos, spojrzal na klasę i obwieścił na wesoło ważną nowinę:

— Dostałem jeden bilet dodatkowo darmowy — flegmatycznym ruchem odjął cwikier, jeszcze raz wytarł troskliwie, założył z powrotem i kierując zadowolony wzrok ku przedostatniej ławce dokończył: — Bilet przeznaczę dla Wikty Kaciady. Pojedzie z nami na wycieczkę.

— A-a-a! — przeszło zdumieniem po ławkach.

Wikta rozsuwała pod ławką plisy układanki, jakby grała na harmonijce. Zawsze już tak było u niej, że gdy okazywano jej dobroć, umysł jej tracił ruchliwość. W takiej sytuacji nie stać jej było na szczera, wesołą reakcję. Łzy dusiły ją w gardle, paraliżowały głos, uciekający gdzieś do środka. Do oparcia ławki przyciskała rękami dobroć księdza. Kiedy zaczęła się lekcja, nie mogła skoncentrować na jego słowach rozlatujących się myśli. Mówił teraz przycichłym, przejętym głosem o mecie Pana Jezusa. A Wikta wpatrywała się uporczywie w rozmazane litery na tablicy. „Brut-to net-to — czytała mechanicznie. Po chwili przeniosła płochliwy wzrok ku katedrze i z nieogarnionym oddaniem przyjrzała się smutno zwieszanej głowie księdza: miał zaczerwienione oczy w których wilżyły się łzy i nieposłuszne spływały na policzki. Odjął cwikier z przegubu nosa i chwilę trzymał w dwu palcach. Wyjął یرچه z kieszeni, schował, założył cwikier na oczy, następnie ściągnął i polerował szkła. Wypolerowane założył na nos, odchrząknął i mówił dalej: „Gdy Pan Jezus szedł na górę, dzwigiąc na ramionach krzyż, obok niego szły niewiasty i płakały. Wtedy Pan Jezus zwrócił się do nich i powiedział: „Nie płaczcie nade mną, tylko same nad sobą“. W tym momencie zajął mu się głos, raptownym ruchem oparł łokcie na stole, zasłonił rękami twarz i załkał. Wikta usłyszała sapnięcie sąsiadującej koleżanki. Spojrzała na nią, dostrzegła, że także płacze. Rozglądając się po klasie: wszystkie koleżanki miały spuszczone głowy. Spuściła głowę także i ona. W uszach dzwieczyły jej uparcie ostatnie słowa księdza: „Nie płaczcie nade mną, tylko same nad sobą“. I nagle myśli jak błyskawica poruszyła ją: „Co by tak Pan Jezus powiedział, gdyby teraz przyszedł do klasy i zobaczył, że wszystkie nad nim pla-

czemy?“ Spojrzała ku katedrze: przyłożone do twarzy ręce księdza trzęsły się jak w febrze. Krtań Wikty ułapił szloch. Ale nie przez mękę Pana Jezusa. Rozgniewała ją nagle męka Pana Jezusa. „Tak dawno ta męka była i tyle się już o niej nasłuchiłam — pomyślała ze złością. — A teraz ksiądz przez męki cierpi — bo płacze“. Zbuntowana wypędziła gniewem wzruszenie i przyłgła do oparcia ławki jak kupa gliny do opon wózka.

Z dzwonkiem zagładnęło słonko do klasy przez okratowane, klasztorne szyby. Religia była ostatnią godziną. Uczennice pakowały książki, hałasując. Wikta pakowała książki leniwie. Unikała zaczerwienionych oczu księdza. Wdzięczność za darmowy bilet odebrała jej do reszty pewność siebie. Chciała jakimś sposobem podziękować za wyróżnienie. Całowania po rękach nie znośił. Uprawiane przez koleżanki cmokanie z byle powodu wydawało się jej także marne i liché, ale nie pozostawało jej nic innego do wyboru. Koleżanki nawoływały do drogi:

— Chodźże już!

— Już idę — odpowiedziała.

— Cóżes taka oswiała? — dopytywały się.

— Przecież jedziesz na „Wianki“.

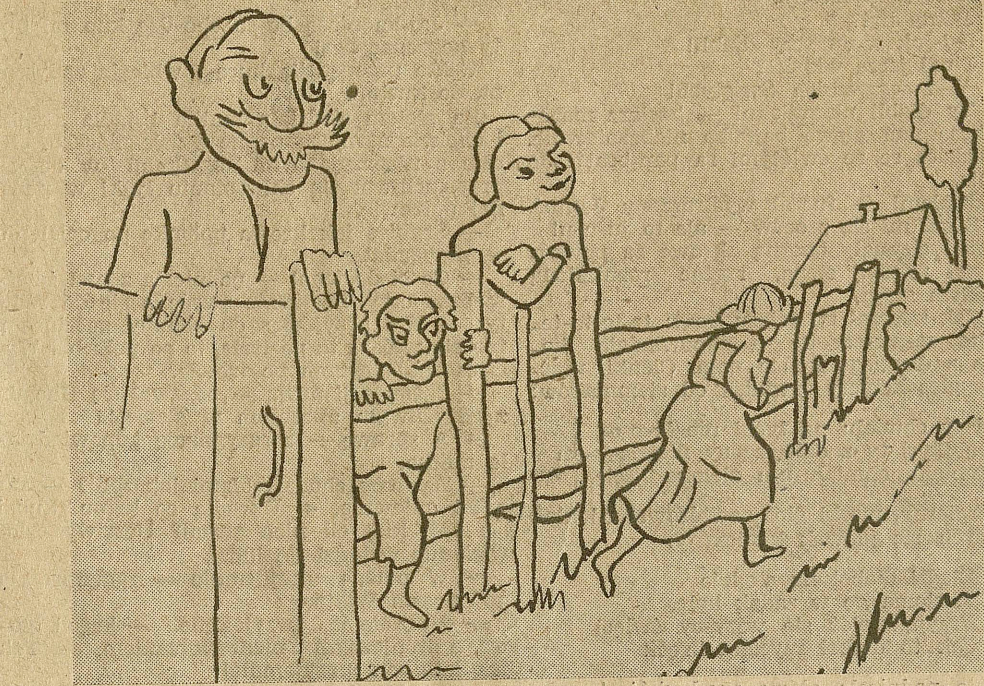
— Wcale mi na tym nie zależy — bąknęła.

Dziewczęta wlepiły w nią pełne zdumienia, zgorżoszone oczy:

— Jakaś niewdzięczna...

Na twarz Wikty wypłynęły rumieńce. Wstydziała się przyznać do koleżanek, że jej zależało przede wszystkim na tym, żeby ksiądz nie cierpiał przez mękę Pana Jezusa. Nie pisała ani słówkiem, że ją męka tak rozgniewała. Zabrała książki i ruszyła z całą gromadą.

Nad gościńcem szło słońce rozmazane czerwonym otokiem. Ściągało rozklekotane fury prażąc kraciaste chustki kobiet i wyleniałe bluzy furmanów. Zagładało do okien domków biegnących rzędem po obu stronach gościńca. Wszystkie niziutkie, wrośnięte w ziemię, przytulały się do siebie równo, jak gnidy na twardym włosie komornicy. Wikta bez tchu doszła do sokoła. Prężąc młode, rozwijające się mięśnie poruszała się sprawnie, lekko, harmonijnie: za tydzień jedzie do Krakowa na wycieczkę! Głodny żołądek przypominał jej o przyziemnych potrzebach. Dzisiaj łagodnie niż zwykle pomyślała o zniechęcającej potrawie — brajce. Przeprosiła się nawet z brajką: w szczęściu tak łatwo przebaczać! Zje całą miszkę bry-



rys. B. U.

byłe dużo i gęste! Wsunęła głębiej pod pachę książki, poprawiła szkolny, płócienny kapelusik i uśmiechnęła się sama do siebie.

Zbliżała się do ogrodzenia Bardelki. Słoneczniki z daleka wystawiały ciekawie żółte oczy. Szeroki gościńiec rozwił się w tym miejscu w drogę prowadzącą w górę i w las. Wikta zwinęła kroku, spojrzła w okna domu Bardelki i dostrzegła, że poruszyły się firanki. Przejęta niepokojem cofnęła się ku sąsiedniej bramie. Z okien domków naprzeciwko wystawiali już ludzie głowy zwabiani codzienną frajdą. Z napięciem wyczekiwali obecnego przebiegu. Przybrawszy pozę niefrasobliwej swobody, Wikta przyłożyła rękę do czoła i wpatrywała się z uwagą w las, jakby ją nic poza tym, co się dzieje pod lasem, nie obchodziło.

Od podgórszkiej strony ciągnął się sznurzek dziewczyn. Przepasane na krzyż płachtami dokazywały jak to zwyczajnie w lesie. „Hu, ha!“ pohukiwały. Wikta poznała po głosie nieustraszoną grubą Andę, wytrawną „cetyniarkę“ mylącą trop gajowego niczym

gangster trop detektywa. Pokrzykiwała buńczucznie:

Nie boje się leśnego!
Wypnę zadek na niego!

Ułomna Mańka pieła się na kablakowatych nogach w których zmieściłyby się szprychy sieczkarnianego koła, wyprzedziła orszak i odrzknęła z przekomarzaniem:

Jak cię złapie leśniczy
To ci zadek oćwicz!

Zachęcona odwagą podgórszanek, Wikta zerknęła ponownie w okna Bardelki: firanki wisiały nieruchomo. Niejasna nadzieja, że może przedzie spokojnie pchnęła ją naprzód. Jak złodziej przekradała się pod płotem. Nagle chlusnęły wyzwiska:

— Chamciu! kapeluszu! pannę struga! Dziadówo — przetak na głowę! Ubierz ury-no! Tylko w ury-nole będzie chamowi pasowało! Uryno! Uryno! Uryno! — po całej ulicy niesły się uragaliwie chichoty Bardelki, zmieszane z obelżywym rechotem Bardelki, przeplatane dalszym stękiem słów: — Górolica spuchła z jałowej brajki! Twoja matka w krypcach przywlokła się do miasta! Ojciec w górniczy i czerwonej tasie-mce przy koszu! Górolicho — wybluj żętyce! Schowaj kapelusz — wzuj kurpieliska!

Jak zezszcuty, skopany psiak Wikta wtuliła głowę w ramiona i zamiast przyspieszyć zwinęła kroku. Stapała ciężko, niezgrabnie, stawiając nogi z wysoko jakby omijała miedzowe słupki schowane w trawie. Spoglądając wylekłyimi oczyma na przysłuchujących się wyzwickom ludzi, dostrzegła w rzucanych na siebie spojrzaniach pełne zadowolenia współczucie, bezlitosną litość, wzgardę i nawet bezcelną radość. Błyskawicznym ruchem ściągnęła z głowy biały, płócienny kapelusik i schowała go pod pachę pod książki. Nagle puściła się pędem i skreśliła z gościńca w pola. Biegając przez wąską miedzę pomiędzy kołyszącymi się łanami zbóż darła nieprzytomnie zielone kłosa. Zsuwane z siłą z łożysk tryskały mleczem i wałyły ręce. Nieprzytomnie rzuciła się w falujący białawym odcieniem owies. Jakby ujrzała nieprzeżyty mur stanęła pośrodku zbóż, patrząc surowym, skupionym wzrokiem na po-walane ręce. Zmęczona upadła w miedzę.

— Za co? za co? za co? — szeptała dysząc ciężko.

Podświadomie wyczuwała, że ta nienawiść do niej wpływała z antagonizmów klasowych. Lecz tylko podświadomie, bo jej świadomość wychowanki klasztornej zakładu była bardzo uboga. Świadomie wiedziała tyle, że ściga na siebie złość ludzką szkolnym, płóciennym kapeluszem. Rozgniewana nasadziła kapelusz mocno na uszy — wszystkim na złość. I mechanicznie zaczęła zrywać puszyste kwiatki jaskrów, odgryzała kielichy, z giętkich łożysk sporządzała koluszką łącząc je w łańcuch. Nie domyślała się nieboga, że zawiniła nie kapeluszem. Że pod kapeluszem ukryte są jej prawa do pełnych praw człowieka, za które ściga na siebie wrogów. Jako córka chłopskiego wyrobnika nie miała prawa aspirować do takich praw. Tymczasem wbrew swojej woli posiadała inteligentny, o miejskim wraźniu wygląd, zdolności, pęd do dalszego kształcenia się. Za te walory popadała w niełaske. Wikta czuła świadomie tylko jedno: gdyby się ludzie nie bali odpowiedzialności przed sądem, ukamienowaliby ją za kapelusz. Nie rozumiała jeszcze, że ze swej pozycji społecznej powinna być niedojdą, pomiotłem, na którym by się każdy mógł utknąć w należy jej sposób: kopniakiem lub pobłażliwą drwiną. Nie pojmowała despotyzmu stosunków społecznych.

Za stodołą poruszali się w słońcu ludzie. Oselka wydzwaniała po kosie: sze-sze-sze-sze. Miętko padały lilijowe głowy konicy. Miedzą prowadził krowę pobłażliwą Jan-tuś-jakała. Kosa podnosiła się w górę pod

Tadeusz Różewicz

WYZNANIE

Zamiast tylu głów
chciałem im przypisać jedną
piękną jak kościelna wieża

Chciałem dać
jedno oblicze
szarej masie
która
świeci pod ulewą potu

Szedłem pisałem
aby załudnić
białe miejsca na mapie
wyobraźni. I tu zderzyłem się
z żywymi ludźmi
z ich oczu czasem płynęły łzy
a w piersiach
zaciskało się i rozwierzało serce
tylko głowa była niema
i naga jak młot
nie znaleźliśmy wspólnego języka

Teraz uczę się mówić
od początku
Stąd upadki i błędy
stąd sztuczne śmieszne gesty
które nazwane są
przez niecierpliwych
wierszami.
1949 r.

POETOM DWUDZIESTOLECIA

Nie ma kraju poetów
nigdy go nie było
Ja wiem
mnie życie
w serce uderzyło
Zgrzeszyłem łatwą wiarą
w słowa i marzenia

Trzeba odciąć ręce
waszego strumienia...

— — — — —

1949 r.

Jerzy Miller

G Ł O S

Las martwych kobiet, dzieci i mężczyzn
bezbrottych niczego nie przypomina?
zwierząt nie ma

a jeśli są to tylko wychodzące po deszczu
owady o chitonie czerwono-białym
Las bez drzew liści kory pni i koron
od jednej dłoni nawet dziecięcej węższy
Ptaki w nim nie śpiewają Bażanty
nie podbijają się z zarośli Tego
wszystkiego tam brak wyobraźnia nawet
niczego nie stworzy niczego więcej nie powie
Takich lasów jest wiele na wschodzie
One nie mają nazwy tylko
liczbą są oznaczone o tyle
uproszczoną że podana w zaokrągleniu
Dlatego u nas najwięcej boją się wojny
szczególnie w okolicach gdzie lasy takie rosły
choć nie są szersze niż jeden liść bukowy
lasz bez przyszłości bogate w przeszłość przecież
tysięcy godzin najpiękniejszych
tysięcy dni najczarniejszych
Rozpięły się jak zdmuchnięte wiatrem mleczce
jeżeli coś znaczą jeszcze to tylko jako potężny
głos do głosów walczących o życie

U P R A W A

Gość to nagły i niespodziewany
ręka, która daje a nie bierze.
I nad nami, gdy wznosimy ściany
słup powietrza wyściełany wyrósł
Są to dumne i wysokie wieże
Perspektywy widziane na wyrost.
Piękno zjawia się w moim ogrodzie.
Raj uprawy obdzielił nasze pola.
Raj uprawy, który jest po głodzie
tym dla ludzi czym dla ryb potoki
po bajorach po błotach do kolan
tonem święta ludzkiego wysokim.

słońce, świecąc niebieskim, metalicznym kolorem.

— Jantuś, zackej no! — zawołał kosiarz.
— P-p-p-po co? — Jantuś przystanął krocząc w miejscu na boki.
— Ponoś ty widział diabła w niebie bez worek?

— A w-w-widziołem.
— Piękny był?
— J-j-jak w-wszyscy diabl!
— I coś jeszcze widział?
— W-w-wszystkich Świętych!
— Ty diabl ułamnioku! — kosiarz machnął kosą nad głową bejdaka niebezpiecznie.
— Bedzies se ze świętymi za pan-brat?! Jo ci tu!...

Widziołem! — fuczał wystraszony Jantuś.
— Strać mi się z oczó — ale to ju-u-u!
Jantuś siepnął oporną krowę za powrót i ruszył miedzą stępą, rżąc roznieśioną woliskiem szją.

Młotek uderzał po ostrzu kosy: te-te-te-te. Sze-sze-sze-sze — odpowiadała kosiarka z drugiego końca pola. Cienki, przeciągły głos kobiety zawodził od ziemniaków:

Zebyś ty chmielu na tycki nie lo-o-o-oz
Nie robiłbyś ty z dziewczyny niewio-o-o-ost
Oj chmielu, chmielu-u-u zielone liście...

Energiczny, męski głos zawtórował od kłaniających się głów koniczyny:

Siedzi diabeł na stodole
A słoma go w zadek kole,
Przypatrzcież się wszyscy święci
Jak to diabeł rzyciom kręci!

Wikta podniosła głowę znad zbóż. Zarzucała łańcuch z jaskrów na szyję i ruszyła miedzą ku Dunajcowi, oganiając się modlitewnym śpiewnikiem przed brzęczącymi natarczywie muchami. Niebawem stanęła na wysokim brzegu Dunajca. Szumiał i sędli wilgocią po jej skłonnych do reumatyzmu kościach. Smutno zapatrzyła się w wodę. Fale rwące i szybkie były nieustępliwie zamulone, przybrzeżne krzewy. Płynęły jak za-

wziętość na niedolę człowieka. Podobne do jatrzących się, nigdy nie zgruntyowanych myśli o upodleniu człowieka, przewalały się i klebiły. Z błogim uczuciem zamoczyła nogi, zmyła ręce, twarz i ruszyła na przełaj ku domowi.

Za stajnią grzebała kura sąsiadów w szkodzię, gdakała:

— Jaj-ka niose bo-so cho-dzę kup mi buty gospodaaarz!

Wikta przepędziła kurę i wbiegła zadyszana do kuchni.

Za stołem siedziała matka i jadła szybko i chciwie żarnową papkę z żeleźniaczka. Ojciec z nieprzyjemnymi błyskami w oczach przysłuchiwał się chlupotaniu łyżki w nędznej potrawie.

— Szybkie jak krowa polonkę po ocieceniu — przygadał.

— Co ci do tego! — podniosła z nad żeleźniaczka oczy, następnie zwróciła się do Wikty: — Nie przyjdzieś do chaupy gościńcem, ino sie wloćys to po lesie, to po polach... Wy-ciros sukienynom po towie.

— Sprawis ji nową — odezwał się Kacala z zgrzytliwym akcentem w głosie.

— A sprawę — z rezygnacją odpowiedziała matka.

— Za to ze chodzi polami jak zbój? — zapytał gniewnie. — Ukradła co komu. Ludzi się boji kiej od nich stroni? Uczciwy człowiek nie wstydzi się ludzi.

— W polach przyjemnie — zamamrotała pod nosem Wikta.

— Widzicie ją... przyjemnie... — kręcił głowę z ironicznym niedowierzaniem. — Tak jak letnikom przyjemnie!

— Jak letnikom to i mnie — obruszyła się. — Tak samo odczuwam przyjemność jak i letnicy.

Kacala szarpnął wąża zaciskając rząd równych, błyszczących zębów pod powłoką cienkich, ale miękkich warg. Zadumał się. Wikta znała te jego stany. Wpatrzona w ojca dostrzegła, jak kipi w nim nie tyle złość na nią, ile szukający ujęcia bunt. Jego wystające kości policzkowe pod smagłą cerą,

gaszcz krucznych włosów, połyskliwość żywych, bystrych ocz, przypominały jej teraz do złudzenia tatarskiego chana z buławą. Znała na pamięć jego odpowiedź, choć znała jego bunt. Na własną rękę odczuwał swój wrzód wydziedziczonego z praw człowieczych proletariusza. Lecz gdy chodziło o cudzy bunt, szczególnie o przykarcenie buntującej się rodziny, wyłaziło z niego upośledzenie społeczne, niby wąż z wyleńską. Jakby chciał zderzyć zasłone z własnych oczu i córki i przez to ukazać prawdę, krzyknął: — Zrozum, że co wolno letnikom to nie tobie! Zrozum, że co letniki to nie ty! Tobie się godzi milceć i pracować! Godzi ci się iść do letników na służbę! A w pola ci się godzi wyjść nie po przyjemności ino po znoj! do roboty!

Rozbudzona krzykami zapiąkała roczna dziewczynka, dźwigając z kołyski główkę do góry. Matka wzięła dziecko na ręce i usiadła na ławce. Wyjęła wyschniętą, flakowatą pierś, wsadziła do ust dziecka szerniałą sutkę. Wikta przysiadła się obok matki, milcząc jak po pogrzebieniu. Zaniedbała dyskusji z ojcem, choć cisnęła się jej na usta odpowiedź że przy pracy w polu także może być przyjemnie. Wiedziała, że z nim nie nawołuje. W swoim upośledzeniu odmawiał nie tylko przyjemności, ale wszelkich cech ludzkich jako niższemu gatunkowi człowieka. Teraz chciała koniecznie powiedzieć coś na załagodzenie. Po chwilowej zadumie postanowiła podzielić się własną radością. Onieśmielona jeszcze oznajmiła prawie szeptem:

— Jadę do Krakowa.

— Na służbę? — zainteresował się wszedłbyłski, o cienkich uszach Antoś.

— Nie na służbę, tylko na wycieczkę — sprostowała z przechwałką.

— Za co? — ożywiła się matka.

— Książd mi da za darmo bilet.

— Lepi zeby ci doł za bilet piniądze — poddał rzeczową myśl Antoś. — Kupili by my se zimnioków i jęczmienia.

Na twarz Wikty wypłynęły rumieńce oburzenia. Przeglądała w kierunku brata fuknęła:

— Nie będę przecież zebrała!
— Nikto ci zebrać nie kazuje! — ojciec zacisnął pięść i uderzył w stół. — Ale na dzie-ci zarobić tobyć juz mogła!

— Nie moje dzieci! — zbuntowana do żywego pisała.

— Nie twoje dzieci?! — milcząca dotychczas matka zerwała się z ławy i zatrząsa dzieckiem nad głową córki ostatkiem sił, płacząc. — Ale łojce twoje, łojce! Takie dziopy jak ty pomagają juz łojcom! Takie podgórzanke to i na cetyne chodzą, na kopaczki, na zarobki — a tu cało zjedź ciężarem! Miei rozum, żeś jest ciężarem łojców!

— Jesce do szkoły chodzi — wtrącił spokojnie ojciec. — Ale jak skończy ten ostatni rok, więc nie pódzie. Musi se wybrać naukę ze łba!

Wikta stanęła przy drzwiczkach blachy blada jak ściana. Przestraszona mówiła z uporem:

— Do Krakowa na wycieczkę pojedę.

— O cem? — zapytała porywczo matka.

— Książd mi da bilet.

— Ale jadał nima na drogę. Co se wezmiesz do jada?

— Brajki w zeleźnioku! — skrecał się od śmiechu Antoś.

Rozindyeczona niecnym żartem wywaliła język i wypadła na pole. Jak na drewnianych nogach powlokła się miedzą ku stodole.

Z góry od lasu wracały podgórzanke. Uginając się pod pękatymi brzemonami cetyny figlowały hałaśliwie. Gruba Anda nuciła przyjemnym, smęliwym głosem:

Słoneczko na zachodzie
Mój miły odprowadź mnie
Odprowadź mnie za las
A ja cię jeszcze raz
I tam się rozejdziemy — — —

Wikta stanęła pod stodołą i patrzyła bezmyślnie w pękate brzemonie cetyny ginące za zakrętem.

Marianna Kościńska

Tadeusz Nowak

MŁODZIEŻ W KRĘGU GMINY

1. NA DRODZE DO ŚWIADOMOŚCI KLASOWEJ

Stawiam sobie takie zadanie — przedstawić życie gospodarcze młodzieży w mojej wiosce i gminie. Pozwólcie, że zacznę opowieść od siebie.

Urodziłem się w biednej rodzinie małorolnego chłopca. Nie miałem lepszego dzieciństwa niż wszystkie inne dzieci biedniackie. Pracować przy gospodarstwie zacząłem bardzo wcześnie, bo gdzieś od 5 roku życia. Musiałem pasać naszą jedyną starą, obłąka już ze starości krowę, która wodzka mnie przez kilka lat po wszystkich rowach, dolach i wertepach. Łaki nie mieliśmy. Chodziłem w długich, straszliwie połatanych spodniach. Z poszczególnych lat umiała matka odczytać całą historię tych spodni. Ta z czasów dziadka, ta — kiedy je ojciec nosił. W domu było coraz gorzej — przybywało rodzeństwa, natomiast pola nie przybywało. Bieda wciskała się we wszystkie kąty domu. Miałem siedem lat, kiedy rodzice oddali mnie do miejscowej szkoły powszechnej. Odtąd miałem pracy znacznie więcej. Oprócz pasania krowy i bawienia młodszego rodzeństwa musiałem się uczyć. Radę jakoś dawałem, uczyłem się chętnie i dobrze. Szkoła, słabo wprowadzie prowadzona, rozwijała mój pogląd na świat. Właśnie w tym czasie na szkolnej ławie zacząłem sobie zdawać sprawę z mojego położenia społecznego. Mała wiejska szkoła pokazywała różnice pomiędzy biednym i bogatym. Nie mogłem jednak zrozumieć, dlaczego dzieci — takie jak ja, chodzili w połatanych, dziesięć razy przesypanych spodniach, kurtkach i butach, podczas gdy inne były ładnie ubrane, jadły bułki z kielbasą na przerwach, a nauczyciel je wyraźnie lepiej traktował. Ustaliłem już wtedy, że rodzice tych dzieci są bogaci, mają więcej ziemi, że nasi rodzice z daleka w pas im się kłaniają, a na przednówku pracują za bochenek chleba dziennie u nich.

Moją sytuację społeczną i współkolegów uświadomiłem sobie znacznie później, dopiero po wojnie, kiedy to uczyłem się w gimnazjum i pracowałem jednocześnie na terenie najpierw „Wici“, a później ZMP. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę z tego, że wieś to nie jest jednolita, związana wspólnymi celami grupa społeczna. Wewnątrz tej tylko pozornie zgodnej całości toczy się zacięta walka klasowa. Prowadził ją mój dziadek przeciw zachłanności wiejskich bogaczy, prowadzi ojciec, prowadzi i ja na odcinku młodzieżowym.

2. LINIE PODZIAŁU KLASOWEGO

Od szeregu lat przyglądam się młodzieży mojej wsi i gminy, obserwuję jej społeczne życie. Uważam, że przy rozpoznaniu jej różnych oblicz społecznych podział na małorolną, średniorolną i bogatą jest konieczny. Te trzy grupy młodzieży nigdy nie żyły u nas w zgodzie, zawsze istniała między nimi mniejsza lub większa przepaść: ilość posiadanej ziemi.

Z młodzieży bezrolnej i małorolnej rekrutowała się liczna przed samą wojną w naszych stronach grupa parobków, pracujących w okolicznych dworach i u bogatych chłopów. Ludzie na podstawie obowiązującego prawa zwyczajowego pozbawieni nawet formalnych praw wolności i równości. Z tej biednej młodzieży rekrutowali się również bandyci i złodzieje, jakże często kierowani, a nawet finansowani przez bogaczy.

Drugą grupę społeczną stanowiła i nadal stanowi młodzież średniacka. Część jej w zależności od układającej się konstelacji wpływów politycznych i warunków gospodarczych przechodziła na stronę bogaczy, inna część trzymała się z młodzieżą biedniacką. Istotną cechą naszej średniackiej młodzieży to — stałe wahanie się polityczne.

Ostatnią wreszcie grupę młodzieży stanowią bogaci. Na nią „po mieczu i kądzieli“ czekały

zawsze wszystkie zaszczyty w gminie. Młodzież ta kumała się z dworem, plebania i wielkocłopską oligarchią. Dziś już dworu nie ma, nawet i plebania, pozbawiona tego potężnego sojusznika — osłabła politycznie, ale bogactwo i mają znaczenie. Są to nawet nieraz starzy działacze polityczni, których radykalizm ograniczał się do walki z dworem. Oni to zapisali na swoje konto reformę rolną. I chociaż nie chcą wyjść poza ramy tej chłopsko-burżuazyjnej (antyfeudalnej) rewolucji, mają tu i ówdzie polityczny wpływ. Na te zasługi ojców powołuje się nasza bogata młodzież.

W rzeczywistości walczą u nas ze sobą dwa obozy polityczne: młodzież drobnorolna z młodzieżą bogatą. Średniacy nie mają ideologii, ale skłaniają się coraz wyraźniej ku biedniakom, wchodzą za nimi w szeregi koła ZMP, które w planowy, zorganizowany sposób prowadzi walkę klasową. Bogata młodzież chodzi luzem, pozornie obojętna, w gruncie rzeczy wroga zachodzącym na terenie naszej wsi przemianom społeczno-kulturalnym i gospodarczym.

3. NASZE KOŁO PRACUJE

Gminę naszą stanowi 10 wsi, z których 8 liczy do 1.000 mieszkańców, albo nawet liczbę tę przekracza. W każdej wsi istnieją większe lub mniejsze koła ZMP. Członkowie tych kół to przeważnie dawni, często jeszcze przedwojenni „wiciarze“ i ZMP-owcy. Sytuacja charakterystyczna dla Rzeszowskiego. Każde koło posiada świetlicę, gdzie odbywają się zebrania, pogadanki, odczyty z dyskusjami, często i przedstawienia zespołów amatorskich. W każdej świetlicy można czytać czasopisma młodzieżowe — „Nową Wieś“, „Pokolenie“, miesięcznik „Nasze koło pracuje“ i inne, przeważnie o treści gospodarczej — „Chłopi“, „Rolnik Polski“, „Gromada“ i inne. Każde koło jest dobrze zaopatrzona w prasę i na dobrą sprawę jego członkowie powinni dobrze



Klub sportowy we wsi S...



Ucząca się młodzież naszej okolicy

orientować się w sprawach politycznych, społeczno-kulturalnych i gospodarczych kraju. Niestety, jest jeszcze spora grupa zorganizowanej młodzieży, która nie bardzo zdaje sobie sprawę z etapu, na jakim kraj nasz i wieś się znalazły, nie widzą nawet perspektyw rozwojowych, nie rozumieją więc głębokiego sensu walki klasowej, oczywiście, że członków społecznie nieświadomych spośród młodzieży bezrolnej jest stosunkowo mało. Liczę, że jakieś 20 proc., ale fakt ten utrudnia w dużej mierze pracę koła.

Jest sporo przyczyn tego stanu. Znaczna część młodzieży musi ciężko pracować przy gospodarstwie. Niektórzy chodzą nawet na „doróbkę“. Przemęczeni fizycznie, nie mają nierzadko siły do pracy w koło. Są tacy, którym warunki gospodarcze zamknęły drogę do szkół, często wtórni analfabeci. Nie jest również dobrze z instrukcjami ze strony powiatu i województwa.

Ogólnie jednak biorąc większość naszych Zetempowców daje sobie radę z pojmo-



Muzycanci naszej okolicy. W środku stoł Józef Sumara, kłoczy Miha

niem problematyki naszego ustroju. W dyskusjach, które prowadzimy wszędzie, gdzie się da, widać wzrastający wpływ czytelnictwa różnego rodzaju prasy i książek. Widać w konkretnych osiągnięciach.

Myślę, że koło ZMP z naszej wsi może stanowić reprezentatywny dla całej gminy przykład. Według opinii Zarządu Powiatowego ZMP jesteśmy najlepszym kołem w powiecie. Otóż nasze koło liczy przeszło 60 członków. Są to wyłącznie dawni i powojenni wicjarze. Z chwilą powstania ZMP (akurat rok temu) weszliśmy w szeroki nurt tej organizacji, znakomicie poszerzając naszą dotychczasową działalność wiciową. Ideologicznie wzbogacił się o sojusz chłopsko-robotniczy i rozumienie, następującej po walce o reformę rolną, walki klasowej wewnątrz z pozostałościami po kapitalizmie. W ten sposób, my — wicjarze, przesunęliśmy się na nowy etap rewolucji, której cele są już zgodne w zupełności z rewolucją proletariacką.

Gdyby tak spisać pozycję po pozycji w naszych osiągnięciach, zajęłoby to niemało miejsca. Naprawialiśmy drogi gromadzkie, pomagali przy elektryfikacji wsi, zelektrykowaliśmy własnymi siłami świetlicę i urządził ją dosłownie z niczego. Nasz zespół artystyczny ma już dobrą, ustaloną w gminie opinię. W twardej pracy nad sobą doszli nasi muzycyści do wspaniałych rezultatów. Czy wiecie, że taki samorodny talent — Józef Sumara (1928 rocznik!) opanował tak dalece skrzypce, fortepian, organy, harmonię i nawet saksofon, że gra łatwiejsze utwory Bacha (na organach), Beethovena i Chopina? Nowak Edward — najlepszy harmonista w okolicy, Chłopecki Władysław i Mihał Władysław znani skrzypkowie. Przed wojną może by dorabiali „tangowaniem” po weselach i pijackich zabawach, dziś uczą chłopów obcowania z prawdziwą polską muzyką ludowo-narodową. I nasi sportowcy znani są w okolicy (zbudowali boisko). Dziś prowadzimy normalne rozgrywki sportowe o mistrzostwo gminy.

4. AWANS NA PRZODOWNIKA

Chciałbym Wam opowiedzieć na przykładzie mojej gminy o pewnym awansie społecznym,



Grupa dzieci z powszechnej szkoły w S.

który, jak dotąd, nie doczekał się dziejopisa. Rozumiem, że kiedy dziesiątki i setki tysięcy młodych chłopów odchodzi do wyższej niż wiejska zorganizowanej produkcji fabrycznej — to jest awans. Kiedy masy młodzieży wychodzą ze wsi do średnich szkół i na wyższe uczelnie — to także jest awans społeczny.

Ale nasza organizacja młodzieżowa pozwoliła swoim członkom zająć odpowiedzialne stanowiska w kręgu gminy. Połowa pracowników Zarządu Gminnego to dzisiaj moi koledzy ZMP-owcy. Gdzie by kto przed wojną mógł u nas pomyśleć, że zwykły syn nieuczzonego, drobnorolnego chłopca zostanie referentem podatkowym. A my mamy już nie tylko referenta podatkowego, ale także komendanta S. P., sekretarza koła ZSCh, bibliotekarza. I w Gminnej Radzie Narodowej zasiadają przedstawiciele młodzieży. Wszyscy wy-

żej wymienieni nie posiadają wprawdzie średniego wykształcenia, ale posiadają zato wyrobienie społeczne.

Przodownicy na szczeblu gminnym i gromadzkim wystają u nas bezpośrednio z masy drobnorolnych i średniorolnych chłopów. Odbija się proces awansu społecznego w kręgu gminy.

Powoli, ale też i nieustannie przejmują młodzież w swoje ręce kierownictwo gminy, decyduje o jej najistotniejszych sprawach. Dawniej „urzędy” przejmowała młodzież bogata. Dziś próbuje ona wszelakimi sposobami obalić wyrosłe z dółów społecznych wsi autorytety przodownicze. Posługuje się plotką, intrygą, nieraz fałszywym oskarżeniem. Ma to jednak swoje dobre strony, mobilizuje bowiem nasz aktyw do rzetelnej pracy nie dopuszczając żadnych zarzutów.

5. W PRZYSZŁOŚĆ

Niedawno spotkałem na drodze wracającego z gminy, podobnie jak ja, pewnego biednego, starszego już chłopca. Miałem przed sobą 3 km drogi. Wywiązała się między nami długa rzeczowa rozmowa. Jej temat stanowiła młodzież ucząca się w miastach. Mój rozmówca cofnął się do odległych wspomnień w dawne lata, kiedy powstawał galicyjski ruch ludowy. Przed wielką, pierwszą wojną sporo młodzieży uczyło się. Wychodzili podobno na wysokich urzędników, a nawet profesorów uniwersytetu. Ale równocześnie wchodzili w klasę mieszczańską, albo, jak mówił ów chłop — w pański ruch ludowy. Z hrabiami chodzili nasza bogata młodzież oglądać oblicze cesarza Franciszka.

W latach międzywojennych szkolne progi za wysokie były dla chłopskich nóg, za ciężkie drzwi dla chłopskich rąk. W tym czasie uczyła się wyłącznie młodzież bogata. Z naszej wsi około 10. Tytu właśnie mamy bogatych. Dziś ów 2-morgowy chłop ma syna w średniej szkole. Od samych smutnych wspomnień przeszliśmy do współczesności. Mówiliśmy, ile nasza gmina wyda w najbliższych latach inżynierów, lekarzy, nauczycieli i innych pracowników. Było o czym mówić: Z naszej wioski (jednej z 10 w gminie) uczy się ponad 20 chłopów i dziewcząt w szkołach średnich i na wyższych uczelniach. Już w przyszłym roku otrzymamy dwie nauczycielki. Będą pracować w wychowankowie liceum handlowego. Wszyscy są aktywnymi członkami ZMP i wszyscy pochodzą z drobnorolnych i średniorolnych gospodarstw. Czekać na nich nasze gromady, czeka gmina.

Znowu wracam do wspomnień, do przedwojennych lat, kiedy to chodząc do skromnej szkoły, w spodniach, na których pokolenia zaznaczały się łatanami.

Dziś jestem skłonny do coraz większego optymizmu. Młodzież naszej gminy awansuje wszechstronnie: na przodowników gromadzkich, na nauczycieli ludowych, na lekarzy, ekonomistów i inżynierów. Oddala nas szybko od czasów, o których mówił wracający z gminy stary, drobnorolny chłop.

Tadeusz Nowak

Marian Minias

Artykuł dyskusyjny

Dojrzałość do zawodu i środowiska

Szkoły rolnicze w konkretnej pracy dla środowiska

Sprawa szkół rolniczych w Polsce Ludowej przedstawia się zupełnie inaczej niż w Polsce przedwojennej, gdzie dawany był uczniom tylko pewien fragment wiadomości fachowych, zazwyczaj z punktu widzenia gospodarowania folwarcznego — a więc obcego dla gospodarstwa drobnorolnego, z pominięciem kwestii społecznej.

Uczniowie byli odseperowani od środowiska. Ciągła kontrola nie dopuszczała, aby uczeń mógł wyostać się poza obrys szkoły i wziąć udział w życiu najbliższej wsi, w życiu jej młodzieżowych organizacji. A przecież celem inicjatorów pierwszych szkół rolniczych było przygotować przodowników w prowadzeniu gospodarstw swoich w duchu zdobytych naukowych, podnoszenia kultury rolnej i brania czynnego udziału w życiu społecznym środowiska (Dziubińska „Zaranie”).

Niektóre ze szkół rolniczych żyły tą tradycją i dawały dużo pozytywnych wiadomości młodzieży i były ustosunkowane jak najlepiej do środowiska — lecz takich było mało. Większość — to szkoły, z których duchem i metodami wychowawczymi walczyli wicjarze i ludowcy na łamach postępowej prasy chłopskiej przez całe dwudziestolecie niepodległości.

W Polsce Ludowej szkoły rolnicze wkroczyły w nową fazę rozwojową. Oświata rolnicza stała się powszechną, dostępną dla każdego, pragnącego się uczyć. Szeroki system szkół przysposobienia rolniczego, gimnazjów i liceów rolniczych pokrył gęstą siecią teren Polski. I młodzież wypełniła szkoły masowo.

W początkowych latach powojennych szkoły rolnicze walczyły z całym szeregiem niedociągnięć i trudności. Nieumebłowane lokale, brak sił nauczycielskich, pomocy szkolnych, podręczników i programów. Chęć i zapęć nauczycieli i uczniów pokrywały wszystkie braki.

Dziś zmieniło się dużo. Mamy już dobrze umeblowane lokale, programy przemyślane i ujęte w system jednolity. Zwiększyła się ilość personelu, dostarczonego przez akademie rolnicze. Pracownie zostały zaopatrzone w pomoce naukowe, a liczne podręczniki zastąpiły początkowy werbalizm nauczania. Agronomia społeczna, ekonomika, zagadnienia z Polski współczesnej i uczniowskie spółdzielnie wyżywienia unowocześniły szkoły rolnicze i wprowadziły je w tok i tętno życia Polski Ludowej.

Jednak nie wszystkie początkowe niedociągnięcia szkół rolniczych zdołano usunąć. Powstały dwie i to bardzo ważne sprawy, które do dziś nie są ujęte programem, ani rozpracowane. Zostawione są do swobodnego uznania przez grono nauczycielskie, które nie zawsze wywiązuje się dobrze. Są to zajęcia praktyczne i wkład bezpośredni młodzieży szkolnej, nauczycielstwa i szkoły w środowisko wiejskie.

Personel dawnych szkół rolniczych nie może w większości wyzwoić się z przeszłości i dostosować zajęć praktycznych do zmienia-

jących warunków powojennych. Personel młody nie mając innych wzorów — przyjmuje system stary i zły.

Jak wygląda podział zajęć? Dzieli się całość szkoły na kilka grup, w zależności od potrzeb szkoły, np.: rolnicza, hodowlana, ogrodnicza, internatowa, stolarska i porządkowa. Grupa rolnicza wykonuje prace związane z rolnictwem, hodowlana z inwentarzem żywym, internatowa — wszelkie prace związane z internatem, stolarska — prace w stolarni, porządkowa — porządek w podwórzu, ogrodnicza — prace w ogrodzie, jak sadzenie warzyw, pielonki itd.

Jak wygląda podział prac? Dla przykładu podam podział prac w grupie rolniczej.

Do stojącej na korytarzu w dwuszeru grupy podchodzi nauczyciel rolnictwa lub zastępujący go instruktor, rzuca badawczym okiem po uczniach i zaczyna wybierać po kilku do poszczególnych prac. Kieruje się przy tym siłą fizyczną. Wygląda to na dawny podział prac w folwarkach przez rządzącego lub ekonomę.

Wskutek takiego podziału jeden z uczniów będzie przez cały sezon klepał kosi, bo umie to z domu; inni będą tylko orać, czy nakładać nawóz, bo są silni; inni będzie przez cały odpowiedni czas szczepili drzewka — bo tego nauczyli się sam w domu, a reszta, nieodznaczająca się czymś szczególnym, słabi, będą pielnić, pielnić i pielnić, buntować się i sarkać.

W szkołach tych dochodzi często na tle zajęć praktycznych do nieprzyjemnych incy-

dentów między uczniami i prowadzącymi zajęcia.

W innych szkołach rolniczych prace w gospodarstwie oparte są tylko na stałych lub sezonowych pracownikach fizycznych, a młodzież uczy się tylko teorii.

I pierwszy i drugi system jest zły. Szkoły rolnicze są szkołami zawodowymi. Uczeń otrzymujący maturę licealną w szkole rolniczej uzyskuje tytuł technika rolnego. Ma stanąć na odpowiedzialnym odcinku pracy w rolnictwie czy agronomii społecznej.

Czy może być dobrym pracownikiem człowiek, który w czasie pobytu w szkole przez wszystkie sezony klepał tylko kosi, czy wykonywał tylko pewną, stałą czynność, bo ją umiał jeszcze z domu, lub ciągle pielnić? Czy może być dobrym pracownikiem ten, który tylko uczył się teoretycznie, nie biorąc czynnego udziału w pracach gospodarstwa?

Pewnie, że późniejsze życie nauczy ich i mogą być jeszcze bardzo cennymi agronomami. Społeczeństwo jednak wymaga, aby już szkoła przygotowała chłopca czy dziewczynę do społecznej pracy agro-technicznej. Mamy tak piękny przykład w naszym przemysle przekraczania norm pracy, współzawodnictwa, pracy zespołowej, racjonalizatorstwa itd.

Dlatego te wzory pracy polskiego robotnika nie są intensywnie przeszczepiane na teren szkół rolniczych? Dlaczego młodzież nie jest zarażana wyczynami naszych górników, metalowców, hutników, odzieżowców, murarzy i innych?

Z sanatorium na kurs społeczny

Otrzymałem list od St. Orła, którego fragment pamiętnika pt. „Dzieciństwo” czytelniczy „Wsi” pokwitował wielu pochlebnymi listami do redakcji. Młody nauczyciel gimnazjalny z Sandomierskiego odczytał mi go — prywatnie — po dłuższej przerwie. Pisaliśmy przedtem do siebie. Oceniliśmy kilka prób nowelistycznych — ujemnie. Błędy wskazywały na obciążenia światopoglądowe ludomanijskie i na bezowocność idealistycznej wiedzy, jaką uzbrojony został młody pisarz, dla poznania rzeczywistości społecznej. Potem przerwa, milczenie. I ten list — prywatny. Niech mi to będzie jednak wybaczone, że go ogłaszam. Ta niedyskrecja odsłania prawdę rośnięcia nowego życia w Polsce. Przenikanie nim młodych — jak bardzo, czytając.

J. A. K.

Miałem przyjechać do Redakcji i zamiast do Łodzi pojechałem do sanatorium w Zakopanem. Upłynęło sporo czasu — siedzę tu jeszcze — ostatnie na szczęście dni. To jest dopiero realizm, Redaktorze. Chleb i woda młodych lat, rozbijanie muru przeszłości za pomocą i uporem chłopaka wiejskiego — zrobiły swoje. Znalazłem się w sanatorium. Ale to nie ważne.

Do „końca” podobno jeszcze daleko i dlatego ożyłem na nowo. Znowu się we mnie życie zbuntowało i pójść mimo wszystko naprzód. Bo sanatorium to wyspa rozbitek i buntowników jednocześnie.

Łachmany ludzkich istnień buntują się przeciwko niesprawiedliwości losu. Niektórzy składają ręce i patrzą gdzieś — mówią, że do nieba. O pomoc — czy zmiłowanie, czy cud.

Ale i w nich w końcu rodzi się bunt. Głucho widocznie w niebiosach. Widzą tam pustkę i nienawidzą. Mieszanina, gmatwani na uczuć, myśli. Żal mi tych ludzi. A oto mój współtowarzysz z werańdy — nauczyciel. Przeprowadził 29 lat w szkole w najgorszych przedwojennych warunkach, w dusznej izbie, gdzieś na mokradłach. Dzisiaj jest już cieniem człowieka. Pokazuje mi ręką góry, las, potok. Jakby nie słyszał. Myśli o swoim. Słyszał, bo odpowiada wreszcie:

— A mnie, kolego, żal szkoły, chyba zdecydowanie, jeżeli mi nie pozwolą uczyć.

Panie Redaktorze, będę z panem 7 dni. I wie Pan — jadę od razu na kurs miesięczny nauk społecznych marksizmu itd. Przeżyję trochę Pańskimi wywodami i spróbuję popracować dla siebie. Stracę rok, ale będzie, mam nadzieję, mój czysty zysk, a jednocześnie „kapitał duchowy”. Jak pan widzi, szykuje się do przejścia do obozu kapitalistów. Ale biada im wówczas.

Przesyłam pozdrowienia

Stanisław Orzeł

Dlatego hasła współzawodnictwa na wsi, polecane przez przedstawicieli centralnych władz Związku Młodzieży Polskiej znalazły oddźwięk wśród pracowników fizycznych w majątkach państwowych i u części młodzieży z gospodarstw drobnorolnych, a dalej nie miałyby sięgnąć?

Zdajemy do socjalizmu. Ale czy szkoły rolnicze nadążają za klasą robotniczą i szkołami zawodowymi innych resortów, gdzie warszaty i pracownice są podstawą szkolenia?

Zajęcia praktyczne w szkołach rolniczych powinny być oparte na normach, na współzawodnictwie, na pracy zespołowej, na efekcie robotogodzin, na przeliczeniu pracy na produkt, na jej wydajności.

Bezpośredni, rozumowy udział ucznia w pracy wpłynie również na ulepszenie jej i zwiększenie wydajności — rozpocznie się racjonalizacja prac rolniczych, spłaca do dziś jeszcze, a tak pięknie rozwijająca się w innych gałęziach naszego życia gospodarczego.

Zajęcia praktyczne w szkołach rolniczych powinny być rozpracowane przez poszczególne nauczycieli i umieszczone w dzienniku, jak każdy inny przedmiot.

Nauczyciel do zajęć praktycznych powinien przygotować się każdorazowo solidnie, aby czas pracy ucznia nie został zmarnowany, aby każda minuta dała pożądaną efekt.

Czy to jest trudne?

Dla zorientowania podam kilka przykładów.

W ubiegłym roku, kiedy przez okres ferii letnich prowadziłem gospodarstwo w Państwowym Liceum Gospodarstwa Wiejskiego w Dąbrowie Zduńskiej, starałem się pracę uczennic, będących na praktyce, ująć w ramy konkretnych efektów.

Przykład pierwszy.

Dziesięć uczennic w wieku od 15 do 18 lat skończyło wiązać snopekzy po zniwiarce na polu o powierzchni 1 ha o godz. 11 i 5 minut. Po 15-minutowym odpoczynku zaczęły stawiać snopekzy w mende. Uczennice nie bardzo chciały stawiać twierdząc, że nie opłaci się już do południa, tj. do godz. 12. Wreszcie zdecydowały się stawiać wszystkie jeden rząd. Na moją jednak propozycję, podzieliły się na dwie połowy po pięć i zaczęły stawiać całą szerokość pola w dwa rzędy mendi. Oświadczyłem im, że tyle zestawia ile zdążą.

Początkowa niechęć ustąpiła bardzo szybko. Zamiast niechęci rozbuździł się zapał i współzawodnictwo. Moja rola ograniczyła się do hamowania ich zapału. Efekt był taki, że 3 minuty przed godz. 12 stały dwa rzędy mendi o łącznej ilości 237 sztuk.

Dziewczynki były spoczone i zmęczone, ale trzeba było widzieć ich miny i entuzjazm, jaki bił od nich z dokonanej wyprawy.

Po omówieniu wyniku i skalkulowaniu go w pracy dniówkowej uczennice wykapały się i po obiedzie dałem im jako premię 2 godzin dłuższą przerwę południową. Premia ta nie kosztowała gospodarstwo nic, gdyż w przeliczeniu na pracę systemem folwarcznym

dziesięciu pracowników fizycznych satwiałoby tę ilość mendli przynajmniej 1,5 godziny.

Dwie godziny dłuższą przerwę poświęciły uczennice na lekturę.

Przykład drugi:

Przy motyczeniu buraków zastosowałem normy. Praktykantki same pracowały na prawach pracownika fizycznego z tym jednak, że dzień pracy ich trwał 8 godzin. Resztę czasu miały poświęcone na lekturę.

Ośmiogodzinna norma było przemotyczyć cztery rzędy buraków. Pole było długie 207 metrów.

Nie było uczennicy, która by nie wykonała tej normy i to solidnie. Lecz były i takie, że wykonywały motyczenie pięciu, sześciu, siedmiu a nawet ośmiu redlin, czyli 2000 procent normy (w czasie 8 godz.). Uczennica wykonująca 200 proc. normy zarabiała dwie dniówki, wszystkie inne — stosownie do procentu wykonanej normy.

Przy pracy najmniejszej, tegoż samego roku i przy tych samych burakach, kobiety dorosłe nie przekraczały nigdy motyczenia 4 redlin w ciągu 11 godzin. Zestawienie to dało uczennicom tym tyle, ile nie mogła dać żadna teoria ani nauczyciel, było ono jedynym z tylu konkretnych doświadczeń, pobudzających do twórczego, planowego działania w organizacji pracy rolniczej.

To są dwa skromne przykłady z mojej praktyki. Mogłoby przytoczyć ich dużo więcej. Wspomnę tylko, że cała praktyka wakacyjna uczennic w ubiegłym roku oparta była na tym systemie.

A teraz sprawa pracy bezpośredniej uczniów i szkoły dla środowiska.

Ostatnio przedstawia się ona już dużo lepiej niż było to trzy, dwa lata temu. Organizację młodzieżową a szczególnie Związek Młodzieży Polskiej zacieśnia więź między środowiskiem a szkołą.

Sa szkoły rolnicze, gdzie świecila uczniowskiego koła Z. M. P. jest jednocześnie świecila koła wiejskiego. Uczniowie są członkami i szkolnego, i wioskowego koła Z.M.P.

Tak jest w Państwowym Liceum Gospodarstwa Wiejskiego w Dąbrowie Zduńskiej.

W tej samej szkole bardziej wyrobieni członkowie szkolnego koła Z.M.P. jeżdżą do okolicznych kół z referatami ideologicznymi.

W 1947—48 r. zachęciłem w Państwowym Liceum Rolniczym w Czarnocinie uczniów klasy maturalnej do wykładów z zakresu rolnictwa, hodowli i ogrodnictwa na kursach Przystosowania Rolniczego.

Maturzyści wciągając się w nauczanie, zamakowali w tej dziedzinie pracy i po uzyskaniu świadectwa dojrzałości część ich wybrała zawód nauczyciela szkoły rolniczej.

W ubiegłym roku szkolnym system ten przyjął się w Państwowym Liceum Gospodarstwa Wiejskiego w Dąbrowie Zduńskiej. Uczniowie prowadzili w ciągu jesieni, zimy i wczesnej wiosny trzy zespoły Przystosowania Rolniczego na terenie gminy. Zespoły cieszyły się dużą frekwencją. (Dokładnie to opisał w jednym z numerów tyg. „Wieś” Józef Grabowicz — jeszcze jako uczeń drugiej klasy liceum, biorący udział w tej pracy).

Chciałbym zwrócić uwagę nauczycielstwu szkół rolniczych na ten system pracy bezpośredniej uczniów, nauczycielstwa i szkoły ze środowiskiem. Młodzież szkolna w tym systemie korzysta bardzo dużo. Przygotowując się do wykładów, powtarza i ugruntowuje materiał, z którego będzie zdawać maturę. Ponadto styka się bezpośrednio ze wsią, z jej bólami, życzeniami, z młodym elementem, wśród którego niedługo przyjdzie jej pracować.

Na rok szkolny 1949—50 uczniowie w Państwowym Liceum Gospodarstwa Wiejskiego w Dąbrowie Zduńskiej ułożyli sobie już plan pracy. Przewiduje on zwiększenie kół Przystosowania Rolniczego do pięciu na terenie gminy w porozumieniu ze Spółdzielnią Mleczarską - Jajczarską w Łodzi, przeprowadzanie pokazowego żywienia krów, w różnych punktach gminy w gospodarstwach mało- i średniorolnych chłopów. W ten sposób mło-

dzie szkolna chce wziąć konkretny udział w rozszerzaniu zakresu akcji „H”.

Młodzież zaplanowała również przeprowadzenie planowego ukiszania pasz jesiennych, aby przez to wpłynąć na zaopatrzenie się gospodarstw w tanią paszę soczystą.

Aby młodzież mogła sprostać swym zamiarom, dyrekcja Państwowego Liceum Gospodarstwa Wiejskiego w Dąbrowie Zduńskiej urządziła pracownię hodowlaną - mleczarską jako warsztat prac przygotowawczych.

Wkraczamy na drogę do socjalizmu, na drogę gospodarki zespolowej i współdzielczonoj. Szkoły rolnicze nie mogą stać na uboku w tym marszu, a przeciwnie — przodować w nim.

Artykuł mój traktuję jako dyskusyjny.

Proponuję, aby na łamach „Wsi” rozwinąć o poruszonych przez mnie zagadnieniach dyskusję, aby wszyscy (uczniowie, nauczyciele szkół rolniczych, młodzież z kół wiejskich i chłopów starszego pokolenia), którzy osiągnęli jakieś zdobycze racjonalizatorskie na tym polu, podzielili się nimi dla wyłowienia nowych metod i zastosowania ich. Czas przerwać błąkanie się, jak dotąd, rozproszonych indywidualnych wysiłków stosujących różne przestarzałe i szkodliwe nieraz systemy pracy wobec zmienionych ekonomicznych i społecznych warunków w Polsce Ludowej.

Marian Minias.

Stanisław Marczak - Oborski

D W I E K O M E D I E

Kwestia: czy warto wydawać w publikacjach książkowych teksty dramatyczne przeznaczone do grania w teatrze — została już dawno rozstrzygnięta. Warto i należy. Dobrze się też stało, że różne instytucje wydawnicze zapoznały nas prawie ze wszystkimi poważniejszymi utworami powojennej dramaturgii polskiej. Wyszył drukiem sztuki Andrzejewskiego i Zagórskiego, Bieńkowskiej, Brzozy, Flukowskiego, Hołuj, Kalużyńskiego, Kruczkowskiego, Kurbackiego, Swirszczynskiej, Szaniawskiego, Ważyka, Zawieyskiego i innych. Działo się natomiast gorzej, że do bieżącego roku nie mieliśmy ani jednego książkowego przekładu ze scenicznej literatury radzieckiej, jeśli nie liczyć wydanego w roku 1946 w Moskwie (Wydawnictwo Literatury w Językach Obcych) „Najadzu” Leonowa w przekładzie Gabrieli Pauszer.

Zaniebaganie to postanowiła naprawić Spółdzielnia Wydawnicza „Współpraca”, zapowiadając cykl sztuk czołowych autorów: Erenburga, Korniejczuka, Simonowa, Sofronowa, Surowa i innych. Pierwszy tomik serii zawiera komedię Isajewa i Galicza: „Tu mówi Tajmyr”.

Inicjatywa wydawnicza niezwykle słuszną i godną poparcia ze strony krytyki, świata teatralnego i czytelników. Nasza znajomość literatury radzieckiej byłaby niepełna bez lektury repertuaru teatralnego. Wiemy zresztą, że awangardowość i znaczenie tej literatury manifestuje się w twórczości dramatycznej równie ważko jak w powieści i poezji.

Tym lepiej więc, że obok „Tajmyra” mamy do zanotowania drugą pozycję. Spółdzielnia „Książka i Wiedza” wydała komedię Pietrowa „Wyspa pokoju”. Na marginesie jeszcze dwie pochwały dla wydawców. Publikacja „Książka i Wiedza” odznacza się piękną szatą zewnętrzną; publikacja „Współpraca” — niższą (prawie o połowę) ceną. Obie zalety bardzo ważne.

Zestawienie dwu sztuk byłoby ryzykowne, gdyby łączył je tylko przypadkowy fakt równoczesnego wydania. Trzeba sobie zdawać sprawę, że między datą napisania jednej i drugiej minęło dziesięć lat („Wyspa” — rok 1939; „Tajmyr” — 1948). Trudno też dziwić się stopniom sprawności pisarskiej znakomitego współautora „Dwunastu krzesel” i „Złotego ciela” Eugeniusza Pietrowa — i młodych, zresztą bardzo utalentowanych, debiutantów Isajewa i Galicza.

A jednak jakże uderzające jest zestawienie egzotycznej wyspy na Oceanie Spokojnym i północnego półwyspu Tajmyru. Problem obu utworów da się sprowadzić — mimo wszystkich różnic — do jednego mianownika: jak ustrój społeczno-gospodarczy kształtuje człowieka, czym stają się ludzie wpleceni w krąg kapitalistycznych machinacji naffowych — i czym być mogą przejęci ideą budownictwa socjalistycznego.

Sztuka Pietrowa jest wyrazistą satyrą na mieszczański czy arystokratyczny (jak się te czasy zmieniają? to dzisiaj prawie wszystko jedno...) pacyfizm typu anglosaskiego.

Rzecz dzieje się przed drugą wojną światową. Kapitalista brytyjski mr. Jacobs trafnie, acz z pełnym przerażeniem, przewiduje zbliżającą się katastrofę. Likwiduje więc swoje londyńskie interesy i wraz z rodziną ucieka na małą, nieznaną wysepkę na Pacyfiku. Nie upływa jednak wiele czasu, a na „wyspie pokoju” tryska nafta. I od razu rozpoczyna się piekło imperialistycznych kombinacji gospodarczych. Kiedy sytuacja zaostrza się, w kąt idzie cała frazeologia humanistyczna. Sztukę kończy rozkaz: „ogni!”, wydany przez zaprzysiężonego pacyfistę — ale do granic zagrożenia swoich kapitalisty-

cznych interesów, swojej kapitalistycznej ojczyzny.

„Wyspa” ma parę doskonałych momentów satyrycznych np. kiedy mr. Jacobs, zmuszony do ustępstw na rzecz Japonii, poświęca — oczywiście lejąc łzy krokodyle — interesy zaprzyjaźnionych tubylców, którzy naiwnie oddali się pod jego opiekę. Celność sformułowań satyrycznych Pietrowa uwidacznia kwestia pułkownika brytyjskiego, który w szczerej rozmowie z przyjacielem — pacyfistą — powiada po prostu „złoto polega na tym, że istnieją wojny, lecz na tym, że Anglia osłabła”.

Znakomitym chwytym teatralnym jest umiejscowienie całej akcji komedii w tym samym wnętrzu z jednakowymi meblami. Tylko widok za oknem świadczy o zmianie scenerii i postępie wydarzeń. Jacobowie zawsze pragną, aby otaczający ich świat pozostał taki sam — pod każdą szerokością geograficzną.

W „Wyspie pokoju” nie ma ani jednej postaci, jak się to mówi, „pozytywnej”. A zrazem nie ma w niej „czarnych charakterów”. Mr. Jacobs z I aktu, nienawidzący wojny, wzbudza naszą sympatię. To nie jest zwykły człowiek. Dopiero dalsza akcja komedii ukazuje, jak jej bohater musi się zakłamać, popełniać jedną podłość po drugiej, kiedy nie chce i nie może sprzeniewierzyć się interesom swojej klasy — posiadającej i pragnącej posiadać w nieskończoność.

Wymowna jest również beznadziejna — choć pokazana w komediowym wymiarze — sytuacja sekretarza Jacoba. Ten zdolny geolog skazany jest na marną vegetację w cieniu szefa — rekina. Brak mu sprytu, bez którego jego kwalifikacje naukowe są niczym. „Zarażony naftą” — jak sam powiada, nie znajdzie nigdzie szczęścia twórczej pracy.

Isajew i Galicz operują podobną metodą wydobycia postaci z tła społecznego. Ich bohaterzy żyją jednak w innym świecie, dla tego inny jest ich los, inna atmosfera sztuki.

Pomysł komedii jest bardzo prosty. We wspólnym pokoju hotelowym w Moskwie spotyka się czterech ludzi z różnych zakątków Związku Radzieckiego. Dyrektor administracyjny krymskiego teatru, stary pszczołarz — przewodnik pracy, młodociany geolog i wreszcie przedstawiciel północnego półwyspu Tajmyru. Ten ostatni wysuwa się na czoło akcji. Przyjechał tylko na dwa dni, ma do załatwienia masę interesów związanych z zagospodarowaniem swojej placówki — a tu dostaje wiadomość o mającym nastąpić ważnym połączeniu telefonicznym z Tajmyrem, na które trzeba czekać cierpliwie w hotelu. Czarna rozpacz! Ale przypadkowi współlokatorzy przychodzą mu z pomocą: swój wolny czas postanawiają poświęcić sprawie dalekiego półwyspu. Skłania ich do tego sympatia dla entuzjastycznego tajmyrzysty, wrodzona serdeczność radzieckich ludzi i zainteresowanie egzotycznym zakątkiem. Dopiero w trudzie roboty pojmują, że pracowali dla wspólnego dobra, dla bliskiej im wszystkim sprawy: rozwoju socjalistycznej gospodarki.

Łączą się z tym perypetie zreczenie nawiązanej intrygi opartej na nieporozumieniach co do osób (w grę wchodzi dwie uroczyste dziewczyny, pozorny konflikt między miłośnią a przyjaźnią itd.).

Pierwszą zaletą „Tajmyru” jest humor — żywy, naturalny, całkowicie komunikatywny, pozbawiony zupełnie jakiegokolwiek trywialności. Autorzy umieli dostrzec śmieszności pszczołarza-pieniacza, wtrącańskiego

dyrektora, sprzątaczkę-patriotkę, „swojego B piętra” i innych. Czytelnik śmieje się serdecznie nie tracąc jednak sympatii do tych figur. Sprawia to ogólna atmosfera utworu, w której nawet zabawni dziwacy ukazują na koniec swoją wartościową, ludzką podszewkę. Karykaturalna śpiewaczka romansów cygańskich potrafi zapalić się do budownictwa na północy; zwariowany baletmistrz — „człowiek w kraciastym palcie” staje się gońcem interesów Tajmyru. Autorzy wyciągają cały komizm tych sytuacji, ale za nim kryje się głęboka filozofia braterskiego stosunku do człowieka.

Kiedy akcja zaplata się ostatecznie w paradoksalny węzeł nieporozumień, ktoś na scenie powiada: „a może w ogóle nie ma żadnego Tajmyru? Po prostu nabrano nas.” Komedio pisarz anglosaski, typu na przykład Noela Cowarda, tak by prawdopodobnie zakończył sztukę, czyniąc z niej irracjonalną groteskę. Isajew i Galicz zdobyli się na pointę oryginalną i świeżą, ale nie pozbawioną ciekawskiej myśli. Oto krótkie intermedium w środku aktu, a potem bohater znajduje się znowu w tym samym pokoju hotelowym, ale już po paru dniach. Zastaje w nim innych zupełnie ludzi. Ale i w tych poznaje przyjaciół, gotowych służyć pomocą i zrozumieniem. Akcent humanizmu socjalistycznego kończy sztukę podnosząc jej rangę ideową, a zarazem literacką.

Obie sztuki przeszły już „egzamin sceny” w wielu naszych teatrach. Zdają go na celująco. Dla swoich walorów komediowych i treściowych zdobyły dużą popularność, nawet wśród publiczności mieszczańskiej, niechętniej problematyce społecznej na scenie. Możliwość skonfrontowania wrażeń teatralnych z lekturą — to jeszcze jeden pozytywny skutek akcji wydawania sztuk radzieckich.

Pięciolecie Filmu Polskiego

(dokończenie ze str. 5)

nili w społeczeństwie getta warszawskiego, tego z filmu dowiedzieć się nie możemy. Podobny brak zrelatywizowania klasowego widoczny jest w przedstawionym przez Forda społeczeństwie polskim; reprezentantami idei postępu są dorożkarz (!) i jego syn, jedynymi przedstawicielami drugiej strony podziału klasowego są ludzie otwarcie solidaryzujący się z Niemcami, a syn antysemitę Wojtana przeżywa konwersję, umotywowaną

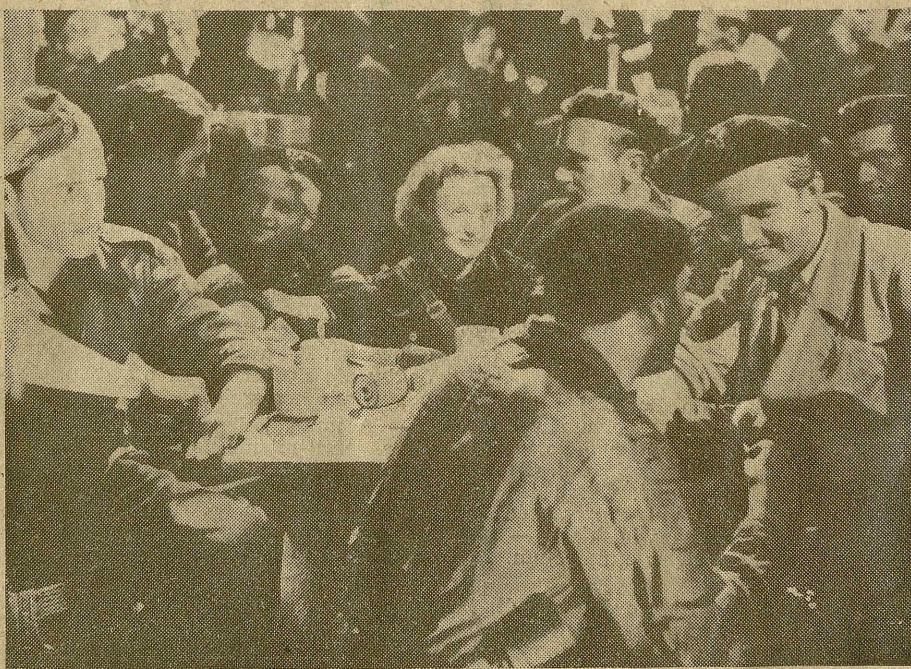
również jedynie kultem dla męczeństwa jako takiego. Co więcej, istnieją w filmie postaci, których oblicze klasowe jest całkowicie mejne (doktor Białek, guwernantka Jadzi). Pomimo tych błędów — niewątpliwie poważnych — za zasługę filmu należy położyć to, że w filmie zostały pokazane — i to w sposób niezafalszowany — metody eksterminacji Żydów, przede wszystkim antysemityzm wraz z jego funkcją społeczną

polegającą na powiązaniu ideologicznym okupanta ze wsteczną częścią społeczeństwa polskiego.

Wypadałoby wspomnieć o jeszcze jednym polskim dziele filmowym, tym razem wykraczającym w czasie poza tematykę wojenną, którego akcja rozgrywa się w okresie następującym bezpośrednio po zakończeniu wojny. Mamy na myśli pierwszą powojenną komedię filmową: „Skarb”. Schematy estetyczne filmu przedwojennego, o jakich mówiliśmy szczegółowo w pierwszej części artykułu, szczególnie silnie panoszyły się w komedii filmowej; dlatego też zadanie przełamania tych schematów musiało być dla realizatorów tego filmu szczególnie trudne: pomimo to trzeba przyznać, że twórcy „Skarbu” zadanie to wykonali. Realizatorzy tego filmu potrafili (niewątpliwie korzystając z wzorów komedii radzieckiej) zerwać całkowicie z anonimowością środowiska społecznego postaci występujących w filmie oraz skonstruować jego akcję na tle najżywniejszych zagadnień, którymi żyje całe społeczeństwo, zagadnień takich, jak problem mieszkaniowy, odbudowa Warszawy itp.

Dlatego właśnie te filmy, które wyzwały się solidaryzmu społecznego i gloryfikowania sytuacji Polski przedwrześniowej, które złamały konwencje estetyczne burżuazyjnej kinematografii, sięgając po nowe środowisko, ukazując pierwszoplanowo konflikty społeczne i tym samym zasadniczo zmieniając funkcję społeczną filmu, wskazują dalszą drogę rozwoju polskiej kinematografii, która z całą pewnością zmierzać będzie ku ukazaniu formowania się socjalizmu, wydobyciu będzie konflikty z tym związane, przekaże obraz przekształceń moralności społecznej, zależnej bezpośrednio od przeobrażeń ustrojowych, zbliżając się ku socjalistycznemu realizmowi.

L. Budrecki i W. Jedlicki.



„Zakazane piosenki”

* Konstanty Isajew i Aleksander Galicz: „Tu mówi Tajmyr”, komedia w 3 aktach. Przekład Aleksandra Maliszewskiego. Warszawa, 1949 r. Spółdzielnia Wydawnicza „Współpraca”, str. 116.

Eugeniusz Pietrow: „Wyspa pokoju”, komedia w 4 aktach. Przetłumaczyła Maria Witowska. Warszawa, 1949 r. Spółdz. Wyd. „Książka i Wiedza”, str. 128.

Saturnin Dąbrowski

ZAPOMNIANA POWIEŚĆ O WSI*)

Wacław Karczewski (1855—1911)
(Marian Jasieńczyk)

W

roku 1898 nakładem księgarni Grendyszyńskiego w Petersburgu ukazała się jedynotomowa powieść Mariana Jasieńczyka**) pod tyt. „W Wielgiem”.

Losy tej książki są wielce charakterystyczne dla ówczesnych stosunków społeczno-ideologicznych, jakie przejawiały się na tle twórczości literackiej. Utwór ten zdobył sobie pełne uznanie krytyki. W. Feldman (Współczesna Literatura Polska — Warszawa 1905 r.) ocenia go w sposób następujący: „O ile w nowelach (wydane pt. „Drobiazgów garsć”) Jasieńczyk jest małołkowny i zależny od Dygasińskiego i Sienkiewicza, o tyle objawia w wielkiej swej powieści talent artystyczny szczerzy i szlachetny ambicję stworzenia nowoczesnej epopei chłopskiej. W pomysłach zbliżonym do „Chama” Orzeszkowej, posiada ona w ujęciu psychologii zbiorowej chłopów ustepy znakomite”.

K. Czachowski (obraz współczesnej literatury polskiej, Lwów 1934) utwór ten uważa za najlepszą powieść wiejską, do czasów ukazania się „Chłopów” Reymonta. „Bezpośrednia znajomość życia wiejskiego i dążenie do pogłębienia prawdy ludzkiej łączą się tu z poważnym staraniem o artyzm stylu pisarskiego, nawet w kierunku opanowania muzycznych wartości języka”.

Wobec tak zdecydowanie pozytywnej oceny krytyki, dziwnym jest fakt, że książka ta od chwili swego ukazania się utonąła jakby w zapomnieniu.

Czyżby efektowna „epopeja” o życiu Księżaków w Lipcach („Chłopi” Reymontowscy) drukowana w 1901 r. tak dalece przesłoniła wszystkie inne obrazy wiejskie, że zarówno czytelnicy jak i wydawcy nie zainteresowali się szerzej bezpretensjonalną „sielanką” życia wiejskiego z okolic Ilży? Ten zbieg okoliczności wydawniczych bynajmniej nie tłumaczy obojętności, z jaką przyjęto „W Wielgiem”. Powieść ta posiada całkowicie odrębną pozycję zarówno pod względem treści, jak formy artystycznej oraz podłoża ideologicznego; przy tym przy swej swobodnej, prostej konstrukcji daleko odbiega od powszechnie wprowadzonego wówczas typu powieści.

Pisarze współczesni Jasieńczykowi na szeroką skalę wprowadzali lud do literatury, ale zachowywali pewien „dystans społeczny” pisząc o chłopach, przedstawiali ich jako ludzi oddzielnego środowiska, społecznie niższej położonego, jako istoty o mniejszej skali przeżyć kulturalnych.

Akcja utworu zasadniczo skupia się wokół perypetiów miłosnych Jakuba Musiały. Trzeba jednak przypomnieć, że wszelkie przeżycia jego przedstawione są w szerokiej skali odczuć, tak, jak dotąd pisano tylko o erotyzmie ludzi ze sfer wyższych.

Jasieńczyk nie wprowadza akcentów publicystycznych w formie wyraźnie sformu-

wanych wniosków — natomiast przez zestawienie i artystyczne uwydatnienie faktów wyraźnie zaznacza swą głęboką postawę ideową.

Dwór z całym swym kompleksem zagadnień ekonomicznych właściwie wyłączony został z akcji powieści — natomiast istnieje on jako narośl na życiu kulturalnym wsi. Dwór jako zjawisko społeczne, aby wobec mas utrwalić swą wyniosłą pozycję społeczną i ekonomiczną, osłania się polem cywilizacyjnym i przy tej fałszywej postawie w zbiorowość duchową wsi saczy jad deprawacji moralnej. Wyrazem tych przejawów jest postępowanie Magdzi Nowotniakówny, która odurzona elegancją dworskiego towarzystwa, przyswajając sobie jego cechy zewnętrzne, usiłuje się wzniesić ponad poziom swego środowiska przez wyrażenie pogardy dla jego „chamstwa”.

Magdzia — podobnie jak Musiała — w powieści przedstawia typ zupełnie pełny. Obrazuje ona typ powszechny — może przejawiać w sobie wypaczonych pojęć i ambicji kulturalnych. Podobny typ, jeżeli chodzi o jego podłoże psychologiczne, zjawia się w każdym innym środowisku — bez względu na jego poziom społeczny i stopień wyposażenia cywilizacyjnego.

Wprowadzając postać zdeprawowanej moralnie Magdzi — Jasieńczyk rzuca oskarżenie warstwom, które chcą uchodzić za świeżnicy postępu narodu. Wprostaczej, a zdeprawowanej duszy tej „córki ludu” odbija się cały fałsz kulturalny i moralny sfer, które podnoszą swe pretensje do „wyższości intelektualnej”.

Drugi przejaw kwestii społecznej, uwidocznił w „W Wielgiem”, związany jest z wewnętrznymi sprawami wsi.

Powieść przedstawia nam typ zubożonego chłopca, który przy swym nasyceniu mate-

rialnym całkowicie jałowicie ideowo i dochodzi do swoistego stanu sybarytyzmu. Obojętnie na sprawy swego środowiska, a goni za uciechami. W żądzy użycia reszty męskich sił nie cofa się przed tym, aby zmarnować krwawy dorobek całego poprzedniego pracowitego żywota. (Dla przypodobania się ponętnej Magdzi oddaje jej ukryte w garnku oszczędności). Ta chęć chłopca użycia i okazywania się na swój sposób niewątpliwie jest wynikiem deprawującego oddziaływania sfer dworskich, które przez wyżywianie się na szeroką skalę usiłują uwydatnić swą wyższość społeczną i kulturalną.

„W Wielgiem” posiada niezaprzeczone wartości artystyczne i ideowe. Lecz, aby ustalić jego pozycję literacką niesłuszne jest podejście Feldmana i Czachowskiego, którzy utwór ten oceniają z punktu widzenia dążeń do stworzenia epopei wiejskiej. Rozmach „epiczny” — jako wyraz doszukiwania się dzieł zakrojonych na wielką miarę, był manierą literacką minionej epoki.

Jest oczywiste, że Jasieńczyk nie można posądzać o tego rodzaju pompatyczne aspiracje.

„W Wielgiem” nie pretenduje do miana epopei, gdyż nie przedstawia całości życia wsi. Nawet Musiały nie widzimy w pełnym toku spraw gospodarskich. Również pobieżnie przedstawia ono treść życia kulturalnego ludu, przejawiającego się w jego twórczości artystycznej.

„W Wielgiem” nie roszczać pretensji do przedstawienia wsi jako całości ukazuje pewne zjawiska obyczajowe: naśladownictwo elegancji państwa ze dworu i rozrzutność w pogoni za uciechami życia. Objawy te na wsi warto wiązać z procesem degradacji ekonomicznej i społecznej ziemiaństwa, o której pisał prof. Chałasiński w „Genealogii społecznej inteligencji polskiej”.

Wiesław Wiejski

CZYTELNICTWO W JAROSŁAWCU

Jarosławiec — duża uboga wieś, leży na skraju Rzeczypospolitej Ludowej, w zamorskim powiecie. Jeszcze w rok po wojnie nie starczyłoby palców u rąk i nóg, żeby polczyć parobków, służących u bogatych chłopów, czy drobnych dorabiających gdzieś w okolicy. Natomiast polczenie czytających książki nie należało do większej trudności.

Sprawa czytelnictwa ruszyła z miejsca stosunkowo niedawno. Będzie chyba przeszło rok temu, kiedy władze w gminie przejęły drobno i średniorolni chłopów. Zastanawialiśmy się w Jarosławcu, od czego zacząć akcję upowszechniania czytelnictwa. Nasz sołtys — Tygasi zaproponował, żeby rozpocząć ją od wprowadzenia na wieś gazety prenumerowanej. Bo regularnie przychodząca gazeta już samym wyglądem zachęca do czytania, a osobna ku temu chwila zawsze się znajdzie w ciągu dnia. Można wykorzystać przerwę o biadanie, poobiednie, podwieczorki w polu. Stanowisko sołtysa popierał gorąco agronom. Wiadomo — powiedział — że jeżeli się u nas dotąd czytało, to w domu, dlatego trzeba od prenumerowanej gazety zaczynać. Jak się ma własną gazetę, to można odnotować ciekawszą sprawę, do których wypadnie jeszcze powrócić. Gazetę się kompletuje.

Nasz agronom zwracał uwagę na fakt, że opinia czytelnictwa wytwarza się najpierw wśród odbiorców gazety, którzy chętnie gromadzą całe roczniki, tworzą sobie biblioteczki. Z gazet składają sobie czytelnicy całe książki. No, szerzeg chłopów, czytelników „Rolnika Polskiego” złożyło sobie „Krzyżaków”. Doszło od gazety do książek.

więc postawiliśmy najpierw na gazety. I odtąd zaczęło się. Dziś można w Jarosławcu dzielić czytelników na kilka kategorii.

Starsi chłopcy, a w każdym razie ci, którzy prowadzą gospodarstwa, czytają regularnie: „Chłopską Drogę”, „Gromadę”, „Rolnika Polskiego” i „Chłopów”. Gazety te dają czytelnikowi tygodniowy przegląd ważnych spraw dziejących się w Polsce i za granicą. Ale przy organizowaniu się czytelnictwa najistotniejszym chyba momentem jest to, że gazety te prowokują chłopów do dyskusji — ba

— nawet zmuszają do chwytania za pióro. Wskazówki rolnicze, zajmujące nieraz po kilka stronice wywołują szereg zapytań, które pisemnie kierują chłopcy do poszczególnych redakcji. Porady z zakresu gospodarki i prawne są szeroko komentowane. Nieraz całe grupy gospodarzy piszą wspólny list do dalekiej Warszawy. Trafia się czasem, że jakaś porada, czyż głos z innego terenu nie odpowiada naszym czytelnikom. Wtedy wybucha dyskusja, padają różne zdania, aż wreszcie któryś z chłopów chwytą za pióro i pisze. Często zwracają się starsi jarosławianie do przedstawicieli młodzieży ZMP-owskiej, żeby w ich imieniu zabrali głos w piśmie.

W naszych stronach jest sporo młodych pisarzy terenowych, korespondentów rozmaitych pism, szczególnie zaś pism ZMP-owskich — „Nowej Drogi” i „Pokolenia”. Stąd też młodzież czyta te pisma regularnie i rzeczywiście od deski do deski. Stwierdzić należy, że „Nowa Wieś” niesie pomoc nie tylko młodzieży, ale jest czytana chętnie także przez starszych. Przystępny język, prosty styl wypowiedzi decydują w poważnym stopniu o powodzeniu tego pisma na wsi.

Specjalną i ważną społecznie grupę czytelników stanowi młodzież ZMP-owska ucząca się w średnich szkołach. Szuka ona w prasie wiadomości z zakresu literatury, ponieważ wiąże się one z materiałem przerabianym w szkole. Stąd też głównie w tej grupie czytelników spotykamy „Wieś” a nawet i „Kuzniec”. Oczywiście są pewne trudności z odczytywaniem tych pism. Chłopcy i dziewczęta z młodszych klas nie są do czytania tych pism przygotowani. Szukają pomocy u starszych. Starsi znowu radzą sobie jak mogą. Słychać jednak wśród nich często, że krytyka literacka jest niezrozumiała. Młodzieży chodzi o to, aby po przeczytaniu recenzji z książek Zukrowskiego ostatecznie wiedzieć, jaką przedstawiają wartość społeczną. Bo jest to autor czytany chętnie, ale nikt u nas nie wie, czy zestawiać go z Sienkiewiczem, czy z Kruczkowskim.

Chodzi o taką prostą sprawę, że od tej młodzieży żąda się, aby prowadziła odpowiednią propagandę czytelnictwa. Jeżeli uruchomi się w gminie dużą bibliotekę, zaraz idą poprzez

Artystycznie jest to utwór doskonale zważony w swej konstrukcji, powieść o wysoce logicznym przebiegu akcji*). Autor prostymi środkami wydobyla rozległe i głębokie wrażenia artystyczne, które w pierwszym rzędzie przejawiają się w żywości i malowniczości opowiadania. Pogodny nastrój, subtelny humor, jaki nieczęsto zjawia się w literaturze polskiej — to dalsze zalety, które podnoszą wartość tego jednego utworu Jasieńczyka.

Postawa bezpośrednia, pozbawiona dystansu społecznego, jaką w swym utworze podświadomie zajął Jasieńczyk — została utrwalaona i udoskonalona dopiero dziś, kiedy do literatury wtargnęli synowie ludu.

W powieściach Wasilewskiej (Ziemia w jarzmie), w opowiadaniach Kowalskiego (Dalekie i bliskie), w opowiadaniach W. Burka (Droga przez wieś), w powieściach J. Mortona (Wawrzek syn Wawrzyńca), Gałaja (Mystkowice — wioska mała, Paweł Łękiś, Krystalizacja), Pogana, Godzdzikiewicz i innych nie ma już tej wyniosłości, kiedy z wyżyn społecznych i kulturalnych w sposób „wstrząsający i budzący litość” mówi się o niedolach ludzi na nizinach.

*) Zwartość konstrukcji została podważona w ostatniej części, stanowiącej zakończenie, w której jako przeciwstawienie do Jakuba Musiały autor usiłuje wprowadzić „dodatkowe” typy chłopskie, skromnie „poprzedzające na swoim” w osobach córki Kasi i jej męża Wika. Koncepcja ta wpada w banal. Czy Jasieńczyk świadomie wprowadził tego rodzaju dysharmonię do założeniem ideowym poprzedniego toku powieści? Można w to wątpić. W dorobieniu zgoda niepotrzebnej części czwartej, raczej należy się dopatrywać kompromisu na rzecz manieri literackiej epoki, która powieści lubiła kończyć pozytywnym morałem. (Schylek pozytywizmu).

prasę głosy, że ZMP, młodzież ucząca się w szkole, zorganizuje czytelnictwo. „Wieś” pisała o tym nieraz. W bibliotece są książki nieobjęte nauką literatury, wykładana w szkołach. Pogana, Kowalski, Rudnicki, Andrzejewski, Sinclair, Fast, Gorki, Niekrasow, Bak nie są w szkole komentowane. My zaś musimy wyjaśniać ich naszemu czytelnikowi, który od gazety idzie coraz wyraźniej ku książce. Niestety ani pisma rolnicze ani ZMP-owskie nie dają nam popularnych recenzji. Skoro już do „Wsi” pisze, to pozwoli sobie zapytać, czy nie dałoby się u Was szerzej niż dotąd potraktować sprawy komentarza do gminnej biblioteki? Częściowo lukę tę wypełniają tzw. wstępy, lub przedmowy, które są u nas publicznie odczytywane i służą jako wprowadzenie czytelnika w zagadnienia poruszane w książce.

Mamy w gminie dużą bibliotekę, rezultat wielkiej akcji KUK-u. Techniczna strona załatwiona. Ale od biblioteki do czytelnika droga nieraz długa. Nie wystarczy dostarczyć wsi książki i na tym koniec. Wieś trzeba poinformować o książce i autorze, doprowadzić do wyboru lektury.

Nasza młodzież szkolna robi, co może. Ostatecznie, rozbudowane przez gazety czytelnictwo ujawniło się w odbiorze książek. Jarosławiec obiegły powieści wiejskie KUK-u. Nasz czytelnik ocenił je tak, że wszystkie przedstawiają chłopca, jakim on być powinien. Dopiero po przeczytaniu artykułu ob. Sobierajskiego „O powieściach wiejskich KUK-u” mogliśmy wyjaśnić, że mamy tu do czynienia z trzema etapami rozwoju społecznego gospodarstwa wsi, który warunkował określone postawy bohaterów. Książka bez komentarza, książka zle rozumiana powoduje dezorientację społeczną, przy pomyślnym fakcie wzrostu czytelnictwa.

Łatwiejszą sytuację mieliśmy z książką Sinclaira — „Król węgiel”. Hal Verner, młody student socjologii, bojownik o prawa dla robotników, przywódcą wyświadczył zyskał sobie z miejsca sympatię i konkuruje w opinii młodzieży z doktorem Judymem. Podobnie jasna i zrozumiała w czytaniu była robotnicza literatura pamiętnikarska — „Pamiętniki robotników okresu okupacji”, „Pamiętniki Górników”, „Na Uralu” Boka i L. Rudnickiego „Stare i nowe”.

Nie wiem, czy da się to uogólnić, ale przyjmując za podstawę naszą wieś i okolicę trzeba powiedzieć, że dochodzimy powoli do stanu powszechnego czytelnictwa. U nas zaczęło się od gazet. Mamy nawet coś w rodzaju społecznej opinii czytelnictwa. Ludzie po prostu jakoś przeżywają książki i chętnie o nich dyskutują. Napotkaliśmy jednak bardzo poważną trudność. Nie mamy jasnej, przystępnej recenzji, którą jeżeli już nie czytelnik, to przynajmniej działacz kulturalny mógłby w akcji upowszechnienia czytelnictwa wykorzystywać.

Szkółka urywa komentarz na Żeromskim, pisma społeczno-literackie mają zbyt wysoki poziom.

I doprawdy trudno będzie naszemu sołtysowi, agronomowi czy wiejskiej młodzieży ZMP na to poradzić.

ADMINISTRACJA TYGODNIKA

» W I E Ś «

PRZYPOMINA O UREGULOWANIU
PRENUMERATY ZA II PÓŁROCZE BR.PRENUMERATĘ PROSIMY WPLACAĆ
NA KONTA P K O
WARSZAWA I-6841

*) Marian Jasieńczyk (Wacław Karczewski) — W Wielgiem — Spółdzielczy Instytut Wydawniczy Warszawa — 1948.

**) Pseudonim Wacława Karczewskiego, który urodził się w 1855 roku w Woli Sienkowskiej pod Radomiem. Bliski krewny znakomitego malarza, Jacka Malczewskiego, z którym wychowywał się we wsi Wielgie (powiat ilżycki) pod kierownictwem wielkiego pedagoga i pisarza Adolfa Dygasińskiego. Po ukończeniu nauk pracę zarobkową rozpoczął w redakcji „Kuriera Warszawskiego” (1888—1893) następnie wyjechał do Szwajcarii, gdzie w muzeum polskim na zamku Rapperswil pełnił czynności bibliotekarza. Zmarł w 1911 roku.

Działalność literacką rozpoczął od ogłoszenia dramatu pt. „Lena” (1897) drukowanego w miesięczniku „Biblioteka Warszawska”. Ostatnia jego powieść pt. „Mieczek Wichci” drukowana była w r. 1910 w odcinkach lwowskiego dziennika „Słowo Polskie” i do tychczas nie wyszła w wydaniu książkowym.

Typowa demokracja

Wg informacji prasy amerykańskiej bezrobocie wzrasta w Stanach Zjednoczonych niemalże z tygodnia na tydzień. Spadkowi zaś zatrudnienia towarzyszy bezustanny wzrost zysku wielkich monopolów. Oto pewne cyfry: W ciągu pierwszego półrocza br. General Motors Corporation osiągnęła czysty zysk w wysokości 808,9 milionów dolarów, podczas gdy w tym samym czasie ubiegłego roku zysk ich wynosił 206 milionów dolarów. Westinghouse Electric and Manufacturing Co. osiągnęły czysty zysk 28,4 miliona wobec 27,4 mil. w roku ubiegłym. Bethlehem Steel Corp. osiągnęło w ciągu pierwszych miesięcy br. blisko 60 milionów wobec 30 milionów z odpowiedniego okresu r. ub.

Czyż nie jest to typowy obraz amerykańskiej „demokracji”? Wzrastające bezrobocie, wzrastające zyski monopolu. Typowa „demokracja” — nieprawdaż. **R. T.**

„Po owocach ich poznać je”

Z frontu zagranicznego.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych Włoch zakomunikowało, że „wznowione zostały pertraktacje handlowe z Jugosławią...”. „Giornale de Italia” opublikowała informację amerykańskiej agencji International News Service... że za radą rządu USA Tito zamierza po podpisaniu włosko-jugosłowiańskiego układu handlowego spotkać się z de Gasperi dla „rozwiązania” kwestii Triestu. Za radą rządu USA...

A na froncie wewnętrznym? Najmłodniejsze hasło to sojusz z kulakami. Bo kulak jugosłowiański — według titowców — różni się od innych kulaków na świecie. „Odnacza się większą świadomością”, „lubi on socjalizm i sam pragnie kolektywizacji”. Oczywiście takiej kolektywizacji, jaką przeprowadza titowcy, gdzie kulak zasiada w zarządzie spółdzielni produkcyjnej, jest uwolniony od podatków, czerpie największe zyski i wyzyskuje... jak za najlepszych czasów królewskich biednego chłopca.

Fakty? Rugi biednych chłopów z setek gospodarstw dla wzmocnienia bazy kulackiej w spółdzielniach, obsadzanie stanowisk w spółdzielniach i urzędach przez kulaków, cyfra 157.714 kulaków we „Froncie Narodowym”, wreszcie awanturnicza polityka „K.C. K. P. J.”, polityka sojuszu z kulakami, urągająca socjalistycznej przebudowie wsi.

Na zewnątrz rady rządu USA — na wewnątrz rady kulaków, wśród których najmłodniejsze hasło: „My jesteśmy Tita — Tito jest nasz!” Brawo!

P.

Dwa „W”

Najprzód Niemcom błogosławił papież. Nieco później (zaledwie tydzień oddzielał niemieckie przemówienie papieża od wizyty amerykańskich generałów) na Niemcy zachodnie — a ściślej na niemieckich monopolistów spłynęło „błogosławieństwo” sztabu amerykańskiego. Papież mówił o „niezashuszonych cierpieniach”, „wybranego” narodu. Amerykańscy generałowie przybyli z planem orestaurowania armii niemieckiej, której przewodziliby ex-hillerowcy. Fakty nie wymagają komentarzy. Tym bardziej, że — jak podaje prasa włoska — ostatnie posunięcia polityczne Watykanu odbywały się w ścisłym porozumieniu z delegatem Stanów Zjednoczonych przy Watykanie, Myronem Tylorom.

Tak broni Watykan polityki Waszyngtonu **J. K.**

Przyjaźń wbrew podlegaczom wojennym

W ostatnim okresie rady związków zawodowych w Birmingham i Coventry (W. Brytania) wystosowały do robotników Swierdłowska (Związek Radziecki) apel, nawołujący do dalszego zacieśnienia przyjaźni między narodami Anglii i Związku Radzieckiego. Apel angielskich robotników napotkał na entuzjastyczny odzew robotników swierdłowskich. „Drozy przyjaciele i towarzysze — pisali w odpowiedzi robotnicy Swierdłowska — nasz apel, zaadresowany do robotników i pracowników umysłowych Swierdłowska, odbił się głośnym echem i spotkał się z najserdeczniejszą aprobatą mas pracujących naszego miasta.

Masy pracujące Swierdłowska, jak i cały naród radziecki, zajęci są pokojową, twórczą pracą nad odbudową i dalszym rozwojem gospodarki narodowej naszego kraju, któremu niemieccy zaborcy faszystowscy wyrządzili podczas wojny ciężkie straty. Jesteśmy głęboko zainteresowani w długotrwałym pokoju.

Robotnicy i pracownicy umysłowi Związku Radzieckiego dążą ze wszelkich miar do zacieśnienia i rozwinięcia przyjaźni i współpracy międzynarodowej z narodami Anglii, Stanów Zjednoczonych Ameryki i innych krajów, bowiem przyjaźń między narodami jest rękojmią trwałego pokoju na całym świecie.

Jesteśmy przekonani, że narody Anglii, Stanów Zjednoczonych Ameryki i innych krajów nie chcą wojny, podzielamy całkowicie wasze zdanie, że wojnie należy zapobiec, a sprawę obrony pokoju posunąć naprzód drogą wzmożenia walki o pokój, drogą zacieśnienia przyjaźni między narodami Anglii i Związku Radzieckiego.

Wbrew zakusom Bevina i Attlee, wbrew gwałtownej propagandzie antyradzieckiej, szerzonej przez prasę imperialistyczną, wzrasta i zacieśnia się międzynarodowy sojusz robotniczy. Wbrew podlegaczom wojennym — w imię pokoju i demokracji! **nk.**

FAKTY i ZDANIA

Skutki amerykańskiej opieki

Francuski Minister Obrony Narodowej Ramadier podpisał ustawę o „reorganizacji” narodowych towarzystw lotniczych. Jak wygląda ta „reorganizacja”?

Prasa francuska podaje listy fabryk Narodowych Towarzystw Przemysłu Lotniczego, które na podstawie wspomnianej ustawy zostały całkowicie zamknięte ew. ograniczone w produkcji. Oczywiście w pierwszym i drugim wypadku powiększa się szeregi i tak już licznej armii bezrobotnych we Francji.

Miłość pokoju, wstręt do wojny?

Chyba na pokój nie „zachorował” jeszcze p. Ramadier. A przecież „choroba” tłumaczy jasno. W Waszyngtonie toczą się obecnie „rozkowania” między przedstawicielami USA i państw zachodnio-europejskich, rokowania, które stawiają pod znakiem zapytania wszelkie plany produkcyjne państw marszałkowskich. Memorandum administracji planu Marshalla stawia sprawę jasno: państwa zachodnio-europejskie winny zmniejszyć... m. in. projektowane plany produkcji ropy naftowej.

Zmniejszyć, bo leży to w interesie monopolistów z USA.

Tak się „rozwiła” i „reorganizuje” przemysł zachodnio-europejski pod pieczętą Stanów Zjednoczonych.

Niewygodne tematy

Nie chciałbym, aby mnie „Tygodnik Powszechny” posadzał o złośliwość, jednak jest dużo racji w tym, że wielokrotnie wypominał „Wies”. „Tygodnikowi” celowe przemilczanie niektórych („wybranych” jak by powiedzieli redaktorzy w sutannach) problemów dzisiejszego dnia. Nie będę powtarzał starych zarzutów. Nie będę również wypominał (przedziwnej obojętności „Tygodnika Powszechnego”, pisma społeczno-katolickiego na sprawy wiary i religii w Polsce. Cóż z tego, że Rząd R. P. składa oświadczenie na temat politycznej uchwały Watykanu o ekskomunice... według „Tygodnika” są sprawy ważniejsze, jak na przykład sprawa nowego rytuału kościelnego dla Niemiec, uwzględniającego... „pewne odrębności narodowe i historyczne” naszego zachodniego sąsiada. („T. P.” nr 30, 31 lipiec).

To, że katolickie społeczeństwo polskie przeciwstawia się jednomyślnie uchwałom Watykanu, a tym samym imperialistycznej polityce części wyższego kleru w Polsce — zdaje się redakcji „T. P.” nie obchodzić. A raczej „Tyg. Pow.” woli o tym nie pisać. To takie... „niewygodne”.

Cóż jednak robić! Czy w nas — m. in. numerze redakcji „Tygodnika Powszechnego” również przemilczy sprawę dekretu rządowego o ochronie wolności sumienia i wyznania w Polsce?

Myślę, że ten akt ustawodawczy ma i dla grupy kościelnej zasadnicze znaczenie.

G.

Kogo broni papież?

Ks. Jan Piwowarczyk pisał w komentarzu do encykliki „Quadragesimo Anno” (wyd.

Verbum, KCUXLVI) słowa, które warto dziś przypomnieć: Otóż! To zdecydowane przeciwstawienie sobie „katolicyzmu” i „socjalizmu” jako dwóch sprzecznych ze sobą światopoglądów i systemów myśli trzeba zrozumieć ściśle w duchu poprzednio postawionych przez papieża zasad. Skutkiem tego należy powiedzieć, że przez „socjalizm”, jako system myśli sprzeczny z katolicyzmem, rozumie papież marksizm, a nie socjalizm w ogóle. Że taki jest sens encykliki „Quadragesimo Anno” świadczy stosunek władz kościelnych do angielskiej socjalistycznej „Labour Party”...

Kogo popiera więc papież? Tych, którzy jak Labour Party stoczą się do roli renegatów klasy robotniczej i duszą i ciałem służą imperializmowi. Ich nazywa ks. Piwowarczyk „socjalistami w ogóle”. (Oczywiście w tym celu, by tumanił nieświadomych). Ale to są, proszę księdza poproście imperialistów (a nie jacyś tam „socjaliści w ogóle”). I na nic nie zda się mówienie o „socjalizmie w ogóle” i marksizmie — jako dwóch nurtach socjalistycznych. O tym ks. Piwowarczyk wie tak samo dobrze, jak wszyscy, którzy orientują się w polityce Labour Party (tych zaś są miliony).

Z jakich jednak względów papież popiera angielską Labour Party? Czy religijnych? Poglądy nie należą przecież do kościoła katolickiego. Więc poparcie ma charakter wyłącznie polityczny. Bo bliscy są papieżowi wszelcy renegaci, imperialiści i faszysty.

Nie uda się tego ukryć nawet ks. Piwowarczykowi w zdradliwej i jezuickiej nazwie „socjalizm w ogóle”.

M. N.

Wezwanie

Ob. Redaktorze!

6 sierpnia minął rok, jak robotnicy fabryki traktorów w „Ursusie” pod Warszawą zainicjowali ruch łączności fabryk ze wsią. O znaczeniu ruchu łączności fabryk i wsi wypowiadali się robotnicy, działacze polityczni i społeczni. Ruch ten wzmacnia sojusz robotniczo-chłopski, uaktywnia politycznie szerokie masy ludowe, wspomaga biednych i średnich chłopów w ich walce z wrogiem klasowym na wsi.

O ruchu tym mówił na kwietniowym plenum KC. P. Z. P. R. sekretarz KC. Roman Zambrowski, że powstał on, „bo klasa robotnicza ujrzała oblicze wroga klasowego na wsi, bo otworzył się przed nią perspektyw i drogi do socjalizmu na wsi, bo jeszcze mocniej uświadomiła sobie rolę hegemonu, kierownika w sojuszu robotniczo-chłopskim na drodze do socjalizmu”.

W rocznicę powstania wielkiego i masowego dziś ruchu łączności fabryk ze wsią chciałbym, jako stary działacz chłopski, zaapelować do pism politycznych, społecznych i społeczno-literackich. Te ostatnie wymieniam z imienia: „Kuznica”, „Odrodzenie”, „Wies” — niech to będzie dowodem że pisma tego typu nie są przeznaczone jak przed wojną dla wybranej elity — ale dla szerokiej rzeszy odbiorców w terenie, chłopów i robotników, techników, urzędników, agronomów — niech pisma te więcej uwagi poświę-

cą ruchowi łączności fabryk ze wsią. Niech ogłaszają konkursy dla uczestników ekip łączności, niech oddają głos robotnikom i chłopom, pragnącym podzielić się wrażeniami z pracy, niech zamieszczają artykuły analizujące formy i metody pracy ekip robotniczych, niech przekazują doświadczenia przodujących ekip pozostałym fabrykom i gromadom.

W wielkim ruchu łączności fabryk i wsi pisma społeczne i polityczne odegrać mogą i odegrać muszą wielką rolę.

Nauczyciel z Łódzkiego.

„Wylaczyli się z życia gromady”

Ob. Redaktorze!

Proszę o zamieszczenie w Waszym piśmie kilku uwag o ostatnich wydarzeniach, jakie miały miejsce w mojej wsi. Wies, znacie, leży w Nadnidziu, bywało i podczas wojny w tych stronach. Pamiętam moją ocenę tej wsi, w której się wychowałem. Wyście zwracali uwagę na walkę klasową, jaka się rozgrywała na terenie wsi między bogatą klasą chłopów związaną z dworem i plebanią a biednymi chłopami i bezrolnymi, ja zaś mówiłem o zgodzie i rzekomej jedności. Okazuje się, że Wy lepiej znaliście teren, niż ja.

7 sierpnia radio przyniosło nam wiadomość o dekrete rządowym, wydanym w obronie wolności sumienia. Z inicjatywy miejscowego koła PZPR i koła Związku Młodzieży Polskiej zostało zwołane zebranie miejscowej ludności. Było to — jak się domyślać — nie jakieś urzędowe zebranie, na którym mówcy z wyuczoną powagą powtarzają zawczasu przygotowane repliki. Przeciwnie — rozmowa, jaka się potoczyła na placu przed sołtysem, była żywa, interesująca, czasami zapalczą, przemawiała wielu — i starszy i młodzi.

Przemawiano przeciwko uchwale Watykanu, dyskutowano nad sposobami odpowiedzi polskiego chłopu na polityczne knawania Watykanu. I uchwalono: w odpowiedzi na polityczny krok Watykanu chłopci podejmują zobowiązanie: 1) jak najszybciej zebrać zebranie chłopów przy uwzględnieniu jak najdalej idącej pomocy sąsiedzkiej, 2) utworzenie rady gospodarczej gromady, która by koordynowała prace poszczególnych gospodarzy i planowała na przyszłość prace w polu i prace społeczne gromady. Jako pierwsze zadanie postawiono przed radą rozplanowanie prac jesiennych w polu, 3) 6 bezpartyjnych chłopów postanowili prosić o przyjęcie do PZPR-u na znak solidarności z uchwałami rządu.

I co powiecie? Nie wszyscy przecież chłopci byli na zebraniu. Brakowało najbogatszych. Tym „sumienie” nie pozwoliło brać udziału w „takim” zebraniu. I oto widzicie jak interes klasowy godzi się z interesem rzekomej „wsi”.

Tych sześciu bezpartyjnych — przyszłych członków partii — to parobcy owych bogaczy, którzy wylaczyli się z życia gromady.

J. P.
(kielecki)

Bilans S. O. M.

14 numer „Trybuny Ludu” (art. Stanisława Maruchy — „Spółdzielcze Ośrodki Maszynowe”) ogłasza ciekawe dane dotyczące rozwoju Spółdzielczych Ośrodków Maszynowych.

1 stycznia 1948 r. było 405 Spółdzielczych Ośrodków Maszynowych; 1 lipca 1948 r. było 1104; 1 października 1948 r. było 1668, a w dniu 31 grudnia tegoż roku było już 2022 S. O. M-ów i kilkadziesiąt ich filii. 1 marca 1949 roku mieliśmy już 2368 S. O. M-ów i 1500 filii gromadzkich; 1 czerwca 1949 r. — 2599 S. O. M-ów i 3187 filii gromadzkich.

Spółdzielcze Ośrodki Maszynowe posiadały 1 stycznia 1948 r. około 4.310 maszyn rolniczych, a 1 stycznia 1949 roku ilość maszyn zwiększyła się do 18.918. Na dzień 1 czerwca 1949 r. ilość maszyn osiągnęła imponującą cyfrę 103.302.

W pierwszym półroczu 1948 r. maszyny S. O. M. przeorały około 27275 ha, zasiały ok. 14686 ha, przemiały ok. 13938 q zboża. W drugim półroczu 1948 r. przeorały już 32381 ha, zasiały 84906 ha, przemiały 2.480.000 q. W pierwszym półroczu 1949 r. według niekompletnych danych Ośrodki zaorały już 75000 ha i zasiały ponad 290.000 ha.

Równocześnie obserwujemy poważny przyrost średniej wydajności traktora, siewnika i żniwiarki, przy czym wzrost ten wynosi 100 i 200 procent. W poszczególnych wypadkach na wiosnę bieżącego roku siewnik 1,5 m osiągały 45 ha zasiewu, traktory zaś na odłogach wykonywały po 120 do 130 ha, osiągając dzienną normę 3 do 5 ha dla traktorów o mocy do 25 KM.

Pierwsza uchwała na temat Spółdzielczych Ośrodków Maszynowych zakładała, że „akcja rozbudowy SOM stanowi w perspektywie zasadniczą formę umaszynowania wsi polskiej, a zarazem ważną formę pomocy Państwa Ludowego małorolnym i średniorolnym chłopom w podniesieniu kultury rolnej ich gospodarstw”.

Rozwój SOM leży w interesie Państwa Ludowego i przyspiesza marsz ku socjalizmowi. **W.**

Redakcja tyg. „Wies” poszukuje materiałów odnoszących się do historii sojuszu robotniczo-chłopskiego.

ZMIANA ADRESU REDAKCJI i ADMINISTRACJI

Zawiadamiamy, że od 1 sierpnia b. r. redakcja i administracja tygodnika „WIES” znajduje się w **Warszawie**. Wszelką korespondencję do redakcji i administracji prosimy kierować na adres:

Warszawa, Starynkiewicza 7

Zmienione też zostaje konto P.K.O.

Należność za prenumeratę (przypominamy o uregulowaniu **zaległej prenumeraty!**) prosimy wpłacać na konto

P.K.O. Warszawa I — 6841

z zaznaczeniem: „za tyg. „WIES”

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOSKIEJ.

REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 80 — zł, kwartalnie 240 — zł, półrocznie 480 — zł, rocznie 960 — zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I — 6841 z zaznaczeniem „za tyg. „Wies”.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, ul. Zwirki 2
D-04760

